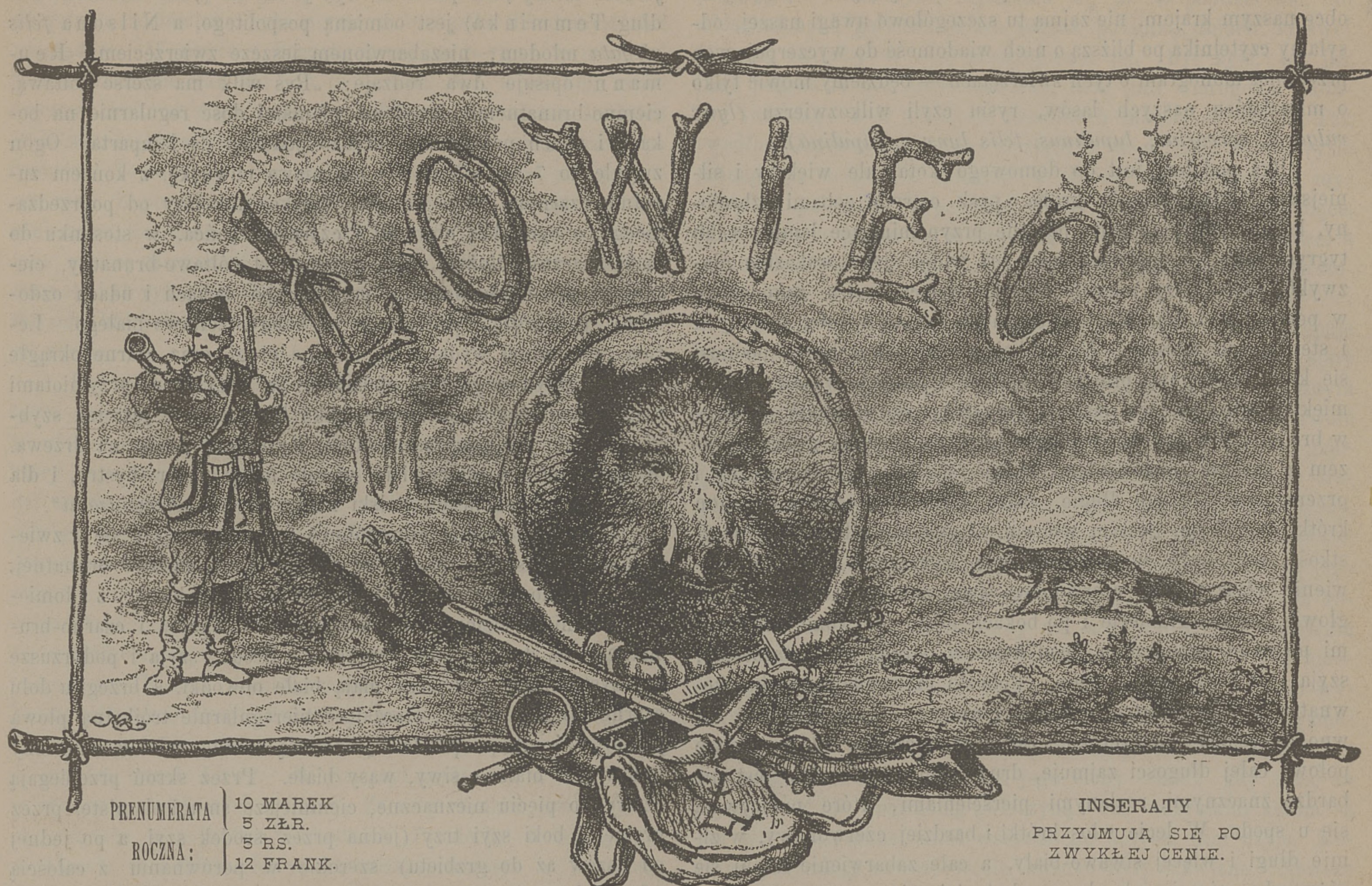
Nr. 9. Lwów, dnia 1. Września 1880. Rok III.



WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

RYŚ.

Poznawszy życie i obyczaje dzikiego kota, żbika, przechodzimy do wyższego reprezentanta tego rodu w Europie, do rysia, który również jak żbik, wraz z wytrzebieniem lasów, z rozpowszechnioną kulturą ich, wreszcie z pomnożeniem ludności, która mu zawsze wrogą była, stawał się coraz rzadszym, aż wreszcie w chwili obecnej zaledwie pojedyńcze okazy pojawiają się w lasach naszych. Groźny ów drapieżnik zwracał ku sobie zawsze baczną uwagę badaczów przyrody i myśliwych. Pierwsi starannie zbierali rysy jego życia, śledzili go na każdym kroku, podpatrywali jego obyczaje; drudzy z narażeniem nieraz własnego zdrowia, a nawet życia staczali z nim walkę, i wszelkimi środkami dążyli do tępienia tego srogiego rabusia. Dzięki usiłowaniom pierwszych możemy jasnemi barwami określić jego życie; drugim zawdzięczamy, iż ledwo kiedy niekiedy przerazi nas wiadomość o pobycie w jakiej kniei owego drapieżcy, pożądliwego krwi i łupu, który gdyby mógł się swobodnie rozrodzić, nie tylko wyniszczyłby wszelką zwierzynę niższego rzędu, ale nadto nasze domowe zwierzęta, a w końcu stałby się nawet groźnym dla człowieka. W dalszym toku owego opowiadania poznamy go w wszelkich przejawach jego życia, i przekonamy się, iż powyższa charakterystyka jest opartą na słusznych i prawdziwych podstawach.

Wszyscy prawie badacze przyrody upatrują zgodnie w rysiu zupełnie odrębny od reszty kotów rodzaj, i osobną poświęcają mu kartę. Przy szczegółowym opisie jego fizycznych właściwości, uderzy nas wybitna różnica składu jego ciała, oraz znacznie odmienny tryb życia. Mieszka on we wszystkich częściach świata, prócz Nowej Holandyi, gdzie wcale nie ma kotów. Żyje w zwartych i mniej dostępnych lasach, pojawia się jednak także na stepach i puszczach, a nawet w zaludnionych miejscowościach. Jest on kotem wyższego stopnia również drapieżnym i krwi chciwym jak lamparty i pantery, a przytem srogi jak lwy i tygrysy. Tryb życia, sposób łowienia łupu odróżnia go w wielu względach znacznie od innych pokrewnego mu rodu zwierząt, a postać jego cała ma w sobie coś nad miarę wstrętliwego. Pożytek, jak to później zobaczymy, wcale nie wielki, nie może iść na wagę ze szkodą, jaką wyrządza, uważać go przeto należy jako drapieżcę, którego tępić bezwzględnie należy.

Ryś kot *(Chaus)*, ryś bagnisty *(lynx chaus*, *felis chaus*, *lybica*, *affinis*, *dongolensis*, *Jacquemontii*, *Katas*, *ruepellii*, *marginato*, *caligata)*, ryś puszczy czyli karakal *(lynx caracal*, *felis caracal*, *caracal melanotis)*, ryś pardel *(lynx pardinus*, *felis pardina)*, ryś polarny czyli Pischu *(lynx canadensis*, *felis ca-*

nadensis, felis v. lynx borealis) ryś czerwony *(lynx rufus)*, jako obce naszym krajom, nie zajmą tu szczegółowo uwagi naszej, odsyłamy czytelnika po bliższą o nich wiadomość do wyczerpujących przedmiot monografii o tych zwierzętach — będziemy mówić tylko o mieszkańcu naszych lasów, rysiu czyli wilkozwierzu *(lynx vulgaris, cervarius, lupulinus, felis lynx v. lupulina)*.

Ryś podobny jest do domowego kota, ale większy i silniejszy. Głowa okrągła, gruba, pysk ostrymi zębami uzbrojony, korpus silny, zwięzły, potężne przypominające lamparta lub tygrysa łapy, — pierwszy więc już widok jego wskazuje niezwykłą siłę. Uszy miernie długie, stojące, ostro zakończone w pendzelek 4 cm. długich, czarnych, gęsto z sobą spojonych i sterczących włosów. Na grubej wardze wierzchniej podnosi się kilka szeregów prostych, białych i długich wąsów. Zbite, miękkie futro okrywa ciało, i przydłuża się u spodu paszczy w brodę, która po obu stronach ostro zakończona zwisa, a razem z usznem owłosieniem nadaje rysiowi wyraz groźny i przerażający. U łap długie, ostre pazury, wysuwalne, ogon krótki z grubym, gęstym włosem. Język ma pilnikowatą szorstkość, oczy duże, wypukłe, okrągłe, iskrzące w nocy. Zabarwienie własa u góry czerwonawo-siwe, zmięszane z białem, na głowie, karku, grzbiecie i po bokach gęsto czerwono-brnnatnemi plamami naznaczone, spód korpusu, strona wewnętrzna łap, szyja i obwódki oczów białe. Policzki czerwonawe, ucho wewnątrz białe, zewnątrz brunatne i czarne. Ogon wszędzie równo owłosiony ma szerokie czarne zakończenie, które prawie połowę całej długości zajmuje, druga połowa otoczona jest nie bardzo znacznymi, rozlanymi pierścieniami, które przerywają się u spodu. W lecie włos krótki i bardziej czerwonawy, w zimie długi i więcej siwawo-biały, a całe zabarwienie mieni się różnorako, równie jak plamy odmieniają się znacznie. Według owego zabarwienia rozróżniano przeto odmienne rodzaje rysiów, nowsze jednak badania wykazały płonność owych odróżniań, znachodzono bowiem w jednem gnieździe rysięta wszelkich odcieni barw, odmian i zarysów. Samica zdaje się różnić stanowczo od samca więcej czerwonawem zabarwieniem i mniej znaczącemi się plamami, noworodki zaś są białawe. Co do odmian, i wnioskowanych ztąd podziałów na osobne rodzaje, różne są podania. Rzączyński wspomina o trojakich, z których najmniejsze mają podług niego szerść krótszą i ostrzejszą, drugie zaś brzuch tylko mają centkowany. Litewscy myśliwi także trojakie rysie rozróżniają. Największy ryś cielę albo ryś wilk, średni ryś pies, najmniejszy ryś kot. Odmiany mają się rożnić wielkością i ubarwieniem. Ryś kot ma mieć szerść najciemniejszą, centki najwyraźniejsze i czarne, ryś cielę centkowany brunatno, a średni najrzadszy prawie nie ma centek, a włos jego dłuższy. Cuvier wspomina o rysiu Kirmyszakiem zwanym, i mówi: „Gatunek ten różni się od zwyczajnego rysia, że jest daleko mniejszy, głowa jego podobna do głowy kota, wzrost jednak wyższy, korpus dłuższy, kolor żółtawy, boki nakrapiane ciemnemi, okrągławemi plamami, pod brzuchem włos jaśniejszy“. Z opisu tego można wnosić, że Kirmyszak Cuviera jest rysiem znanym u nas pod nazwą ryś kot. Jarocki liczy przeszło sześć gatunków i twierdzi, że kształtem ciała stanowią rysie oddział środkowy między psami i żbikami. Pietruski zna tylko różne odmiany, ciemniejsze i jaśniejsze, mniej lub więcej centkowane, mniejsze albo większe, oraz wyraża powątpiewanie, ażali te odmiany są stałe lub przypadkowe. Brehm i Rossmässler stanowczo jeden tylko rodzaj przyjmują, przyznając odmiany. Oppel pisze, iż w Europie zdają się być tylko dwa samoistne rodzaje, północny ryś pospolity, i głęboko na południu żyjący, nie dość jeszcze znany *felis pardina*, ryś jeleń zaś *(felis cervaria* według Temminka) jest odmianą pospolitego, a Nilsona *felis virgata* młodem, niezabarwionem jeszcze zwierzęciem. Reumann opisuje dwa rodzaje: „Ryś wilk ma szerść żółtawą, ciemno-brunatnemi okrągłemi plamami dość regularnie na bokach i udach pokrapianą, bardzo podobny do lamparta. Ogon zwykle do 7 cali długi, ma czarniawą obwódkę, z końcem zupełnie czarnym. Ryś kot jest daleko mniejszy od poprzedzającego, a ogon bez obwódki i czarnego końca, w stosunku do ciała znacznie dłuższy. Kolor jego jest żółtawo-brunatny, ciemniejszemi, nieregularnemi pręgami po bokach i udach ozdobiony, podgardle i podbrzusze są koloru żółtawo-białego. Letnią porą mniej wydatne są ciemne pręgi, oraz czarne okrągłe plamy. Obydwa gatunki obdarzone są wszystkimi przymiotami innych zwierząt drapieżnych, tylko bieg ich nie jest tak szybki, ale zato robią ogromne skoki, i zręcznie włażą na drzewa. Wiatr (węch), a mianowicie wzrok mają nader bystry, i dla tego w wielu okolicach Polski nazywają ich *ostrowidzami*“.

Brehm opisuje szczegółowo rysie znajdujące się w zwierzyńcu Berlińskim. Mają one suknię letnią rudawo brunatnej, przez brudno-popielatą w białą przechodzącej barwy, z płomienistemi, nieco ciemno obramowanemi smugami, i czarno-brunatnemi aż do czarnych centkami. Broda, szyja i podbrzusze są czysto-białe, żółte oczy mają białe obwódki, a brzegi u dołu czarne. Brzegi uszów, otaczające nieregularnie trójkątną płową plamę w środku, i pendzle uszne są czarne, włos wewnętrzny uszów jest białawo-siwy, wąsy białe. Przez skroń przebiegają cztery do pięciu nieznaczne, ciemniejsze smugi plamiste, przez grzbiet i boki szyi trzy (jedna przez środek szyi, a po jednej od uszów aż do grzbietu) szerokie w porównaniu z całością włosa nieco ciemniejsze smugi wstęgowe, przez środek grzbietu trzy przez nader przydłużone plamy utworzone smugi plamiste, które następnie u dołu się rozdzielają tak, iż tu dwa średnie, i po dwa boczne szeregi plam są widoczne. Po bokach idą płomieniste, bardzo przydłużone, ciemno obramowane plamy zewnętrzne, na przedniej łopatce i goleniu aż do jednostajnie sarnim kolorem zabarwionych odnóż i pięt, różnej wielkości brunatne aż do czarno-brunatnych centkowane plamy, ogon odznaczają w górze u nasady czarniawe centki, połowa zaś u końca jest czarną. Od kąta ocznego ciągnie się czarna smuga przez usta i środek siwawo-białej brody, druga, równoległa wychodzi z pod oka. Usta mają ciemno-brunatne centki, obwódka ust czarna, w kątach ust plamy jaśniejszej nie ma. U góry piersi zwarta, prawie ciemna wstęga poprzeczna, spód korpusu oznaczony dosyć wielkiemi, nieregularnemi i różnokształtnemi centkami. Taką suknią odziane są dwa starsze i i jeden młody ryś, lubo z odmiennych krajów, tamte z Skandynawii, ów zaś z Inflant pochodzą. W zimie pokrywa włos barwa siwa, w późnej bowiem jesieni szybko rosnący wierzchni włos blednieje.

Uzupełniając opis rysia dodać należy, iż długość jego dochodzi do 1,3 metra (ogon 15 cm.), wysokość 75 cm. Waży stary ryś 30 do 45 kilog.

W północnej Europie żyjące rysie są większe zapewne z tego powodu, że lasy Skandynawii i Rosyi dostarczają im dogodniejszej siedziby, mniej przez ludzi nawidzanej, że przeto późniejszego dosięgają wieku, jak w strzeżonych starannie lasach środkowej Europy.

Ryś znany był w starożytności, rzadziej go jednak ukazywano w Rzymie, jak lwa i lamparta, ponieważ wtedy już trudniej go było żywcem dostać, jak tamte pokrewne mu zwierzęta. Wystawionego za Pompejusza na widok publiczny, spro-

wadzono z Gallii. O jego życiu na wolności, zdaje się nic nie wiedziano, zostawiono było przeto wolne pole dla domysłów i przesądów. W nauce o bogach dawnych Germanów miał ryś równe znaczenie, jak kot, on to bowiem jest, a nie kot, zwierzęciem Frei, on ciągnie jej wóz. Jeszcze w wiekach średnich stale zamieszkiwał lasy niemieckie i uchodził za najsroższego rabusia. Tępiono go więc usilnie, i dziś go tam już prawie nie ma. Z powodu bystrego wzroku zowiąc go ostrowidzem mniemano, że nawet przez mur widzi, i przypisywano wzrokowi jego władzę fascynacyi i zabijania ludzi. Że u nas w odległych czasach był ryś pospolitym, świadczą częste wzmianki o rysich futrach, których możni panowie używali, a husarze zarzucali je na zbroję.

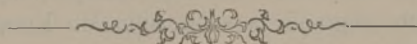
Ryś zamieszkuje stale tylko w lasach rozległych, zwartych, bogatych w gąszcze i miejsca niedostępne, obfitujących w różnorodną zwierzynę. Według twierdzenia Nolkena, który najwięcej przywodzi szczegółów dotyczących rysia, schodzi on do lasów pozbawionych zwierzyny tylko wyjątkowo, gdy go ciężka potrzeba, prześladowanie, pożar leśny i tym podobne powody zmuszają. Wtedy zbliża się nawet do mieszkań ludzkich, zwłaszcza ogrodów. Znajomy czytelnikom „Łowca“ wypadek ubicia rysia w ogrodzie miejskim w Stryju. — Żyje on w północnych krajach Azyi i Ameryki, jakoteż w lesistych podgórzach Europy umiarkowanej i północnej. W Szwecyi, Danii, północnej Rosyi, Syberyi i na Litwie dosyć pospolity, a Kurowski twierdzi bałamutnie, że znajduje się tysiącami w gęstych lasach Litwy. W Szwecyi zabito ich w roku 1835 w rewirach skarbowych 316. — Zresztą rzadkim jest, pojawia się wszakże w północno-wschodnich Prusiech, w Szwajcaryi, w Alpach, w Krainie, Karyntyi, niższej Austryi w Węgrzech i w naszych Karpatach, a szczególnie w górach Stryjskich. Czasem tylko zabłąka się do Niemiec, ostatni ryś był tam ubity w roku 1846. Pietruski wspomina, iż w roku 1825 zabito w Podhorodcach dwa młode rysie, w latach zaś 1844 i 1845 w lasach Synowódzkich dwa stare, dodaje, iż zapewne służył im stan wyjątkowy z r. 1846 i 1848, zakaz posiadania broni i zniesienie nagród za drapieżną zwierzynę, bo się rozmnożyły. Rząd płacił za samicę rysia 25 złr. W roku 1857 w Marcu spadły w górach Stryjskich nadzwyczajne śniegi. Dnia 13go Marca kobieta we wsi Sopocie biorąc siano z brogu, w ogrodzie stojącego, nie spodziewając się, jaki tam gość siedzi, objęła rękami zamiast siana ogromnego dzika odyńca, z niemałym oczywiście przerażeniem obojga. Dzik wydarłszy się z dziwnego objęcia, schronił się pod młyn, gdzie go chłopi siekierami zarąbali. Kilku myśliwych dowiedziawszy się, że się dziki w Sopocie ukazały, udało się tam na zasadzkę. W tem dają im znać z innej strony tejże wsi, że się wilk za bydłem ugania. Mniemany wilk, który nazajutrz szczęśliwie ubity został, był to przepyszny okaz rysia“.

W Saksonii ubił dwór od r. 1656 do 1677 182 rysiów. Od 1846 do 1860 zabito w Norwegii sztuk 1803. W wschodniej Galicyi zapłacono w 1865 nagrodę za 9 zabitych rysiów. W l. 1845. 6. zabito w całej Austryi bez Węgier tylko 6 rysiów. W r. 1819 ubito w okolicy Tulonu 4 rysie. Mylnie niektórzy twierdzą, iż nasz ryś w wielkiej liczbie znajduje się w północnej Ameryce, która rocznie wysyła do 12.000, a w r. 1867 nawet 36.009 skór rysich do Londynu. Nie jest to nasz *lynx*, lecz *borealis*.

Ryś nie zmienia, jak wilk często swego siedliska, owszem trzyma się w niem, ale przebiega je w różnych kierunkach, w jednej nocy rusza na odległość kilku mil, często bez trwogi po drogach zwidzanych, zapuszcza się aż w pobliże wsi, do odosobnionych gaików, wraca jednak po kilku dniach do swej głównej siedziby w celu przetropienia jej. Ryś żyje, tak jak inne pokrewne mu rody, samotny, lubo inni wiarogodni badacze twierdzą, iż w pewnych warunkach inaczej się dzieje. Tak (według *Jagdzeitung)* ubito w Galicyi w r. 1862 cztery rysie jednego po drugim, a również w Galicyi widział pewien myśliwy na polowaniu z pogonką trzy rysie obok siebie idące. Mimo owych podań są to wypadki niezawodnie wyjątkowe, a stanowczo twierdzić można, że ryś nie należy do zwierząt towarzyskich.

Co do przymiotów fizycznych i moralnych nie ustępuje ryś żadnemu z kotów. Mimo wysokich łap niezmiernie silny korpus i wyborne zmysły charakteryzują go jako w każdym względzie doskonale obdarzonego rabusia. Chodzi wytrwale stępo lub truchtem, jak długo nic go nie płoszy, nigdy galopem, skacze, gdy potrzeba, w podziwienia godnych susach, drapie się na drzewa łatwo, i podobno bez trudu przepływa wody. Co do zmysłów przeważa słuch. Nie wiele ustępuje słuchowi wzrok, lubo nowsze badania nie bardzo stwierdzają dawną jego nazwę ostrowidza. Powonienie wszakże, jak u wszystkich kotów, jest słabe, ryś nie wietrzy nic w znaczniejszem oddaleniu i pewnie żadnej zwierzyny węchem nie wytropi. Że jest smakoszem dowodzi najlepiej, że z zamordowanej ofiary tylko wyborowe wyżera części, a co do zmysłu czucia, stwierdzają chowane w niewoli rysie, iż w tym względzie wcale kotom nie ustępują. Dowodem tego jest jego cichy chód, gdy idzie za wytropioną lub upatrzoną zwierzyną. Jak wszystkim kotom są mu wąsy potrzebne, nimi wszystkiego dotyka, nim użyje. Moralne przymioty zawsze wcale wysoko były stawiane. Nowsze badania przedstawiają go jako przezorne, rozważne i przebiegłe zwierzę, które nigdy nie traci przytomności, i w każdej przygodzie umie sobie dać radę. Jeżeli ów przymiot jest głównym u rysia na wolności żyjącego, to u niewolnika, jak to niżej widzieć będziemy, potęguje się, słusznie przeto rysia do najrozumniejszego w rodzie kotów policzyć możemy. Dawni badacze porównują głos rysia z wyciem psa, ale bezzasadnie. Głos ów trudno określić, jest donośny, skrzeczący, wysoki, nieco podobny do głosu kotów w zalotach. Loewis mówi: „Miałem sposobność słyszeć nie tylko moją oswojoną rysicę ale też w nocy, w głuchym lesie, głosy dzikich rysiów niejednokrotnie. Nigdy wszakże nie znalazłem podobieństwa do głosów psich. Krzyk rysia jest raczej podobnym tylko do wycia, rozpoczyna się cienko i wysoko, a kończy grubo i głęboko. Powodem do krzyku były u mego oswojonego i swobodnie chodzącego rysia głód i nudy. Mruczenie i pryskanie z wysoko wygiętym grzbietem oznaczały zawsze gniew i gotowość do obrony własnej i walki. Ciche, kocie, jakoby rzewne miauczenie dawało się słyszeć u mojej rysicy przy pożądliwem, krwi chciwem wpatrywaniu się w gołębie i kury, lub też przy skradaniu się pod łup. Przeciągłe pomrukiwanie jako oznaka zadowolenia, zwłaszcza podczas głaskania ręką, było zupełnie podobne do kociego, ale głębsze i ostrzejsze. Ryś lubi czystość, często iska i myje swe piękne futerko“.

(Dalszy ciąg nastąpi).



*

CHART

PRZEZ

Alexandra Ubysza.

Polowanie z chartami.

(Dokończenie).

Chart byle jaki nie weźmie lisa, który lubo tchórz, dobrze jednak w ostateczności bronić się potrafi. Kilka razy widziałem, jak poszczuty lis nie umykał przed chartami, lecz odwróciwszy się do bieżących frontem, zgarbiwszy się we dwoje, w kabłąk wygiąwszy kitę, wyszczerzywszy zęby w otwartej paszczy, oczekiwał natarcia, które pomyślnie dla niego się kończyło. Chart, osobliwie rasy ukraińskiej, mający pełniejsze i szersze jak inne charty piersi, uderza niemi w rozpędzie z taką siłą, iż lis często na dwa łokcie w górę ulatuje, i w powietrzu chwycony i uduszony bywa. W ogóle charty wątłej budowy i niewielkie wzrostem nie przydatne są do chwytania lisów. Dojdą go, prześcigną nawet, gdyż każdy chart lepiej biega, jak lis, który wytrwałym jest wprawdzie, ale nie rączym. Charty delikatnej budowy, nie cięte czyli nie biercze, odprowadzą tylko lisa z paradą do lasu lub kryjówki, obawiając się nawet *powąchać fiołka*, jak mówią charciarze. Wilka weźmie tylko chart dużej rasy, osobnej, jaka dawniej częściej, dziś rzadziej chowaną bywa na Ukrainie. Ani na Podolu, ani w całej zresztą Polsce nie trzyma się wilk pól otwartych, lecz przebywa w borach, gdzie się też wywodzi. Stepy Ukrainy i Pobereża lub Besarabii, słynne łanami burzanów i bodiaków, często do pięciu metrów wysokości gałęziasto się podnoszących, dają wilkom schronienie i spokojne gniazda szczeniącym się *waderom*. Przed wiekami polowali Kozacy zaporozcy na wilki upędzaniem się za nimi aż do takiego stopnia, iż wilk w końcu legł bezsilny, poczem brano go żywcem zakneblowawszy paszczę. Skoro który dostrzegł wałęsającego się po stepie wilka lub podkradającego się pod stada, wybierali się mołojcy na ochotnika na łowy. Jeden z nich chwytał knebel, zimą i latem na pogotowiu u wrót stajennych wiszący, drugi spiesznie *buławkę* za pas wtykał, a reszta raźnie poskoczyła w step po konie, na które siadali oklep, i pędem ruszali na miejsce, gdzie oblęgł lub włóczył się *basiur*. Zoczywszy go, rozjeżdżali się ile możności w długi szereg nierówny, zformowany w półksiężyca, i tym sposobem brali wilka w środek, co się nazywało: *krużok* (wział jeho w krużok). Zadaniem jeźdźców było zmęczyć wilka, więc najbliższy mu gonił, dokąd się koń nie zhasał. Kiedy pianą okryty począł wolnieć w biegu, podejmował drugi gonitwę, następnie trzeci i każdy po kolei, pokąd nie zforsowali basiura do tego stopnia, iż już dalej pomykac nie mógł, i siadłszy na zadzie, z otwartą paszczą od umęczenia nawet zębami ścisnąć nie zdołał, wtedy albo uderzono go silnie buławką *w makitru* łeb, który pod takiem uderzeniem rozpadał się w kawały, lub też który z mołojców porywał go silnie za uszy, a drugi wetknąwszy mu w paszczę knebel w poprzek, silnie omotywał wokoło tego drążka mocny i długi rzemień surowcowy. Rzemień taki (używano dwa) prócz obmotywania nim mordy i szyi wilka, pozostałością swoją służył za smycz, której dwa końce jeźdźcy uchwyciwszy w rękę, siedząc na koniach, ciągnęli za sobą wilka do Kurenia, gdzie go przywiązywano do pala, i strzelano doń dla wprawy lub też puszczano go między częstokoły, i zaprawiano na nim młode charty. Tak samo polowali Polacy, a mianowicie towarzysze chorągwi pancernych dla strzeżenia granic na stepach stojący, których nazywano kresowymi. Brali oni wilki *na hasy*, a polowanie takie zwało się *hasami*, bo też dzielnie trzeba było hasać na koniach, nim się udało żywcem wziąć wilka. Polowano też na wilka z chartami, których z powodu swego znacznie wyższego od innych chartów wzrostu używano tylko na wilka lub suhaka, taki bowiem chart użyty na zająca wyczerpał swe siły, których wiele trzeba było na wilka. Nigdy więcej nie puszczano chartów na wilka, jak cztery. Poszczuty basiur, szarpany ze wszystkich stron, rzadko kiedy zdołał pochwycić zręcznego charta to szarpiącego, to zwinnie w bok odskakującego, na którego gdy rozżarty wilk się rzucał, drugi chart korzystając z tej dystrakcyi, szarpał go zajadle. Trwało to tak długo, dokąd wilk zmęczony do upadłego, zjajany w końcu już nie mógł użyć szczęki do kąsania, wtedy porwany za kark przez najsilniejszego charta bywał na śmierć duszony, podczas gdy inne charty *wańtuch* mu zaciekle szarpały. Takie charty wilczarze były wysoko cenione. Niektórzy twierdzili, iż charty wilczarze wytworzyły się w skutek przypuszczania wilków chowanych do suk charcich. Przypuszczenie to ma wiele za sobą prawdopodobieństwa, różnią się bowiem te charty od innych nie tylko wzrostem, ale też odpowiednią ich wyniosłej postawie grubością kości, lubo nie są pozbawione przytem zwykłych cech charcich, jak np. podkasałości i t. d. Uszy ich zawsze kołkiem stojące, nigdy na chwilę nawet nie spuszczone tak jak u wilków. Są zwykle ponure, nadzwyczaj złośliwe, i nie każdemu, choćby nawet dobrze znanemu człowiekowi pozwolą się wziąć na smycz. Ogony ich kiciaste nigdy jak u innych chartów nie są z prawej na lewą stronę zakręcone i w górę wzniesione, wilczarze wznoszą je niekiedy, lecz nigdy zbyt wysoko. Chart wilczarz zda się być, według mego zdania czystym typem psa stepowego, dziko niegdyś śród puszcz Azyi żyjącego, wszystkie zaś charty, jak Krymskie czyli tatarskie, a z tych ukraińskie i inne noszą już na sobie cechy wpływu klimatu, sposobu żywienia lub czasu. Uszy sztywnie do góry stojące trafiają się nietylko u chartów wilczarzy. Charty z gniazda pana J... wyradzały się również ze stojącemi uszami. Między moimi czterma chartami była suka mająca takie uszy. Miała na sobie szerść gładką, maść stalowo-popielatą, uszy duże zawsze stojące. Z przodu widziana podobną była zupełnie do sarny, której też nosiła nazwisko. P. radzca W...., o którym wyżej wspomniałem, dostał był od p. J.... charta przedziwnej piękności i doskonałości, psa, także ze stojącemi uszami. Tenże p. J... i mnie darował był charcika ze stojącemi uszami, który każdego prawie zająca brał w pojedynkę, ale lisa ani tknął. I w innych rasach chartów trafiają się okazy ze stojącemi uszami. Takiego prześlicznego białego jak śnieg miał we Lwowie jenerał baron Jo.... W Ołomuńcu widziałem w roku 1859 dużego, bardzo pięknego charta barwy żółtej ze stojącemi mocno uszami, włóczącego się po mieście — mógł być co najmniej w szóstym polu, i dobrze był utrzymany. Wszystkie rasy chartów, z wyjątkiem mołdo-wołoskiej, mającej owisłe ciężkie ucho, co je szpeci, mają zwykle małe, w tył podane ucho.

Przed dwoma wiekami polowali Kozacy Ukrainy naddnieprskiej na suhaka. Ile z naturalnej historyi wiadomo, zwierzę to należało do rodzaju antilop. Jedyny to ich okaz w Europie, żyjący wyłącznie na owych tylko stepach. Suhak, koziorożec i kozica tatrzańska, z których pierwsze zupełnie zaginęły, ostatnia zaś dzięki Towarzystwu Tatrzańskiemu ochroniona od zagłady, — były wówczas jedynemi w Europie zwierzętami, do rzędu *pustorożców* należącemi. Nazwano je pustorożcami, albowiem rogi ich, jak u bydła rogatego, osadzone na stałych, kostnych ze środka głowy wychodzących narościach,

pod względem części składowych, zupełnie odmiennej były natury. Rogi tych zwierząt w piątej części od nasady przy głowie są puste, czyli wewnątrz wydrążone, a wydrążenie osadzone jest na owych narościach kostnych. Zdaniem mojem równie możnaby je nazwać stałorożcami, ponieważ one przeciwnie jak jelenie, daniele, sarny, corocznie zrzucające rogi, nigdy ich nie zrzucały, a nawet zrzucać nie mogły, wewnętrzna bowiem ich część będąc stałą częścią głowy, jest zarazem głównym czynnikiem, przytwierdzającym rogi do korpusu. Zresztą róg ten pod względem składowych swych substancyi zupełnie jest odmienny. To też gdy róg ów z jakiego powodu odpadnie, to nigdy już nie odrasta. Suhak znikł ze stepów Ukrainy, a tem samem i z Europy. Obecnie znajduje się jedynie na stepach Azyi południowej. Suhak, o ile z wizerunków sądzić można, miał rogi odmiennie od Koziorożca i kozicy tatrzańskiej równie też od antilopy ukształtowane. Rogi jego były odpowiedniej do dosyć wyniosłej jego postaci wielkości, głowa duża, czoło mniej niż u sarny wypukłe, ale wypukłość występowała poniżej czoła prawie przy samej chrząstce nosowej, w skutek czego głowa z profilu uważana, była garbonosą, niezgrabną i nie piękną Szyja długa. u krtani nieco kabłąkowato w tył wygięta, podobnie jak u jeleniów. Korpus długi, nogi przednie krótsze od zadnich, trochę krzywych i odśrodkowo wygiętych. Aczkolwiek łagodnej miał być natury, był jednak dzikim, płochliwym, a tem samem bardzo ostrożnym. Myśliwi dawnych czasów uzbrojeni w łuki nie dalekonośne, nie mogli go w inny sposób złowić, jak tylko chartami. Przy całej swej płochliwości i ostrożności, miał być suhak nadzwyczajnie rączym w biegu. Wysoko i gęsto rosnące burzany i bodiaki na stepach Ukrainy umożebniały Kozakom szczwanie ich chartami. *Nizom*, jak się wyrażali, pieszo, charty wiodąc na smyczy, podkradać się musiał Kozak pod stado suhaków, pasących się na stepie. Ostrożnie, bez szelestu zbliżywszy się do nich, szczwał pojedyńczą sztukę z rozpierzchłego stada. Kozacy, oprócz wilków, które łowili bez chartów w sposób wyżej przezemnie wskazany, polowali też na zające bez chartów, ubijając je rzuceniem buławki z konia. Buławka byłato po prostu krótka około pół metra długa laska z przytwierdzoną u jednego końca ołowianą gałką, objętości małej pięści. Mołojcy musieli zręcznie i trafnie nią rzucać, kiedy ubijali niemi siedzącego w kotlinie zająca, a nawet nie jeden zuch pokusił się cwałując na koniu rzucić szczęśliwie za pomykającym. — Tatarzy dawnych czasów, a obecnie resztki ich koczujące po krymskich stepach, łowią podkradające się pod stada koni wilki *arkanem* t. j. kilkadziesiąt stóp długim, z końskiego włosienia splecionym sznurem, który z jednej strony przytwierdzony jest do drewnianej kuli siodła, drugim zaś końcem zadzierzgnięty nakształt sidła. Pewne ale oraz bardzo niebezpieczne to narzędzie w wprawnej dłoni Tatara. Rzucają nim w podobny jak nasi oprawcy sposób, i łapią rozhukanego tabuńczyka. Tak też łapali handlujący końmi Tatarzy na sławnych jarmarkach w Bałcie wskazanego im przez kupującego dzikiego tabuna. Uzbrojony w arkan zbliżał się Tatar do ogrodzenia, w którem mieściły się konie, sprowadzone na sprzedaż, rzucał arkan, i rzadko kiedy chybił, zawsze prawie zadzierzgał go na szyi konia. Koń dziki, który nigdy nie widział nie tylko stajni, ale nawet ogrodzenia, a cóż dopiero uździennicy, spinał się, miotał, wreszcie runął na ziemię. Tego tylko oczekiwano, natychmiast, zanim koń się opamiętał, kładziono mu na głowę tręzlę, pierwszy lepszy Tatar oklep go dosiadał leżącego. Koń czując ciężar na sobie zrywał się, i puszczał ze skulonym na swym grzbiecie jeźdźcem wichrem, wkrótce znikając patrzącym z przed oczu. Za godzinę lub dwie powracał jeździec na spienionym i chwiejącym się od zmęczenia tabunie, i koń był już *obtargany*, jak mówiono. Poczem oddawano go kupującemu.

Wilki łowili Tatarzy w następny sposób. Skoro tabuńczyk czyli stadnik ujrzał wilka skradającego się burzanami, osobliwie pod źrebięta, pomykał za nim, dopędzał go i łowił zarzucając arkan, nie zsiadając z konia, skropiwszy go tylko pletnią czyli nahajką (nogajka, wymysł dawnych Nogajskich Tatarów). Złowiwszy wilka tak długo uganiał po stepie wlokąc go za sobą, pokąd wilk nie wyzionął ducha, poczem odczepiwszy arkan, wracał do stada, porzuciwszy uduszonego. Dziwne, jak różnorodne narody, mieszkające na obszernych stepach lub puszczach bezdrzewnych, lubo niepokrewne sobie i oddzielone ogromnemi przestrzeniami, do łowienia koni i dzikich zwierząt mają zupełnie podobne narzędzie. Tatar ma swój arkan; węgierski Czikosz, pasterz koni, żyjący a często umierający na koniu, ma ów sławny swój bicz, umieszczony na giętkiem biczysku, bardzo długi, z ołowianą kulą na końcu, i używa go do tego samego celu, ale w odmienny sposób; a meksykański Gaucho ze swym *lassem?* Czyliż to nie arkan tatarski? Nie z włosienia, jak tatarski, lecz z rzemyków mocno z sobą splecionych sporządzony, w końcu na dwie części rozdzielony, z których każda opatrzoną jest sporą kulą ołowianą, takie same zadzierzgnięcie sprawiający jak pętla.

W dawnej Polsce z wyjątkiem okolic górskich, jak Karpackie lub lesistych jak Wielkopolska, prócz Polesia, pełnego leśnych bagien i Litwy, w której aż do czasu osiedlenia się tam kilkunastu rodzin tatarskich, wprowadzających łowy z chartami, ten rodzaj polowania wcale był nieznany, — odbywały się one wszędzie, gdzie tylko na to pozwalały większe obszary, nieporośnięte lasem. Działo się to, powtarzam, wszędzie, nie zaś, jak niektórzy mniemają, tylko na rozległych łanach Podola lub stepach Ukrainy. W całej Polsce, z wyjątkiem okolic wyżej przytoczonych, wyprawiano się z zapałem na łowy z chartami, przy których używano też sokołów. Zająca, lisa, sarnę, na Ukrainie suhaka szczwano chartami, wszelką zaś zwierzynę lotną, jak: kuropatwy, przepiórki, porywające się gęsto z przed koni podczas szukania *na wydeptanego*, lub zrywające się z *czaharów* kaczki, bekasy, a wreszcie długonogie czaple dla ich w owych czasach do przystrojenia kołpaków używanych i wielce cenionych piór, chwytały sokoły. Łowy pańskie charciane nigdy nie odbywały się bez sokołów. W ogóle na te łowy nie: „*same na kucach goniły panicze*“ — jak mówi Wojski w Panu Tadeuszu, lecz i sędziwi a poważni mężowie, jak Rewera Potocki, kniaziowie Konstanty Ostrogski i Jeremi Wiśniowiecki, Czarniecki i inni, którzy pewnie dziecinnym igraszkom się nie oddawali. Wszystko się zmieniło, łowy z chartami uważane są dzisiaj przez niektórych za rodzaj jakiegoś sportu, przy którym wystawiają się *à l'anglais* szybkość i wytrwałość nóg końskich, i twardość kości jeźdźców, a charty przy tej zabawie są tylko mało znaczącym, ubarwiającym igraszkę dodatkiem. Lubownicy takiego sportu, których chwała Bogu nader u nas mało, żadną miarą miłośnikami łowów z chartami nazwani być nie mogą, i wcale nie powinni służyć jako argument dla przeciwników charcianych łowów i przechowywania psów tej rasy. Prawda, iż to polowanie z natury swojej musi być poniekąd sportem, możnaż bowiem polować z chartami pieszo? Prawdziwemu miłośnikowi tego rodzaju łowów, kiedy ściga chartami zwierzę, tyle w głowie i na myśli pęd konia, ile troska o powodzenie cesarza chińskiego lub losy mieszkańców księżycowych. Polowanie z chartami o tyle chyba jest istotnie sportem, o ile myśliwy na dzielnym siedząc

rumaku, gdy mu poszczuty zając lub lis zniknie z oczu, pragnąc widzieć, jak charty ścigają, jak sypią obroty, jak w końcu biorą zająca, a zwłaszcza gracza, pociska go, i rozkosz znajduje w szalonym pędzie, którego ostatecznym celem nie doścignienie mety przed innymi, jak na wyścigach, lecz dodanie bodźca chartom w ściganiu. Nam charciarzom nie zależy na pozyskaniu szaraka, lecz o rycerskie zapasy z trudnościami. Jestto rozkosz odrębnego rodzaju, nie ustępująca wcale kniejowej, a przecież i tej wiele zarzucić można. Łowy z chartami nazwano z lekceważeniem sportem, tępieniem zwierza, a czemźeż są dzisiejsze łowy w kniei? Dawniej ogary i gończe grały po lesie, jakoby chór dobranych spiewaków głoszących pieśń łowiecką, a echo powtarzało owe nie bardzo harmonijne ale do głębi serca poruszające tony. Jakież to dzisiejsze łowy? Spędzą kilkadziesiąt ludzi, którzy wrzaskliwymi, fałszywymi głosy umarłychby z grobu poruszyć mogły, wystraszają zwierzynę, a ta naciskana ze wszystkich stron wychodzi na ustawionych w rzędzie myśliwych, którzy pukają i pukają z przeróżnego rodzaju zabójczej broni, kładą ją trupem, a więcej kaleczą lub pudłują haniebnie. To łowy? — nie — to rzeź. Gdyby charciarzowi z taką łatwością przyszło spotykać się ze zwierzyną, upokorzony uciekłby z pola. Podobne łowy kniejowe na kopy — to prawdziwe tępienie zwierzyny, a o rozkoszy myśliwskiej nie ma nawet mowy. Niektórzy twierdzą, że zając kilkakrotnie szczuty chartami nie zchwycony ginie z wysilenia, proszę wierzyć mojej długoletniej praktyce, że inaczej się dzieje. Zając im częściej szczuty, tym silniejszy i zdrowszy, z *fryca* staje się *graczem.* Zając gdy umknie przed chartami równie zdrów, jak zpudłowany w kniei. Lecz cóż się dzieje z zającem lub lisem postrzelonym, a takich aż nadto wiele! Albo ginie wnet, lub przez długi czas męczy się, i staje ostatecznie zawsze pastwą drapieżników. To śmierć straszna, bo na powolnych torturach. Kto pragnie przekonać się o prawdziwości mego twierdzenia, niech raczy po każdem większem polowaniu przeszukać spolowane knieje, a naocznie ujrzy skutki jego. Myśliwi kniejowi oszczędzają zwierzynę, żywią ją, przynęcają, aby potem w kilku dniach wytłuc ją niemal do nogi. W Czechach i Niemczech praktykuje się to do obrzydzenia. Byłem obecnym na takiem polowaniu w r. 1862 w dobrach hr. Harracha. Łowy te urządzone były w najsystematyczniejszym porządku. Szereg myśliwych ciągnął się blisko na ćwierć mili w czystych polach. Nagonka szła z przeciwnej strony. Trzeba było widzieć, co się tam działo, istny ogień tyralierski na całej linii Myśliwi zaledwo zdołali nabijać i strzelać, mnóstwo zajęcy zalegało pola — prawdziwa rzeź. Zbrzydziłem sobie ją, zabiwszy kilka zajęcy uciekłem, i już nigdy tak polować nie pragnę. Co niektórzy miłośnicy sportu zrobili z charcich łowów, to myśliwi z nagónką uczynili z łowów kniejowych. Przyciął Wojski myśliwym z chartami, cóżby powiedział na dzisiejsze łowy z nagonką, cóż Rejtan, Radziwiłł panie kochanku, wojewoda Niesiołowski, lub wreszcie który z naszych myśliwych z przed trzydziestu laty? Zresztą jużto naszą wadą przycinać sobie nawzajem, Koroniarz drwi z Galicyanina, Litwin z Koroniarza, Wielkopolanin ze wszystkich trzech, bo go już niemiecki rozum znarowił. Dlaczegóżby myśliwi kniejowi nie mieli przytykać charciarzom? Słyszałem na seryo wypowiedziane zdanie, że mięso zająca uszczutego chartami jest niezdrowe, bo ze zbytniego znużenia następuje rozkład krwi. W każdem zwierzęciu po jego zgonie ten sam odbywa się proces osobliwie, jeżeli zwierzyna w ciepłej jesieni ubita zbyt długo wisi w spiżarni lub magazynie, w zimie zaś w ogrzanych sieniach lub przedpokojach, a często nawet w parnej kuchni. Panowie ci dodają ten arcyważny argument, że goniony przez charty zając zaraz po uduszeniu trętwieje i wygląda jakby kawał drzewa, co ma być główną przyczyną, że takie zające prędzej się psują i są dla pożywających szkodliwe. Że szczute i długo pomykające zające po wzięciu sztywnieją, przyznaję, lecz żeby to miało szkodzić zdrowiu spożywających ich mięso, stanowczo zaprzeczam. Niechaj jako dowód służy dobre zdrowie wszystkich spożywających pieczyste zajęcze mieszkańców Podola i Ukrainy, którzy prawie innego nie jadają zająca, jak tylko szczutego chartami. Zwierzyna zastrzelona czy uszczuta nie powinna leżeć, lecz być zawieszoną głową na dół, krew bowiem z powodu umęczenia rozgrzana i przepełniająca naczynia psuje mięso i robi je czerwonem i wstrętnem, gdy przeciwnie u wiszącej zwierzyny krew spływa ku głowie i przodowi, nie bardzo w sztuce kulinarnej cenionych, czomber się oczyszcza, staje się kruchszym i smaczniejszym a nawet zdrowszym. Przodki zwierzyny dają się zwykle albo na drugi stół, lub psom na nawarę. Zając nie tylko przed chartami trętwieje, goniony przez psy gończe, gdy się zbyt zmęczy, i psy znacznie wyprzedzi, *kicnie* sobie na chwilę dla odpoczynku i *strzygąc słuchami* wysluchuje, wtedy zwłaszcza w późnej, chłodnej jesieni lub zimie ów odpoczynek chwilowy staje się dla niego zabójczym, słysząc bowiem za sobą zbliżający się gon psów, rwie się do dalszego biegu, ale członki strętwiałe wstrzymują go, złaja go opada i rozszarpuje. Takim tylko sposobem biorą ogary zająca w kniei żywcem. Zając gdy ujdzie pogoni chartów lub nawet gończych, i skryje się w kotlinie, przez kilka godzin bezwładny i strętwiały, lecz to zdrowiu jego nie szkodzi, owszem tem tylko wyrabiają się gracze. Że zając istotnie w skutek wielkiego umęczenia doznaje na kilka godzin kurczów i zupełnej bezwładności, polega nie na teoryi, lecz na doświadczeniu, pozwolę sobie przeto kilka zdarzeń odnoszących się do tego twierdzenia przytoczyć. Raz na polowaniu w kilka koni poszczuto zająca - gracza pierwszej próby. Charty były bardzo dobre, lecz zając jeszcze lepszy. Pomknął blisko przed końmi, *machnął* kilka razy *omykiem, trzasnął* parę *hołóbców*, i poszedł jak kula. Zaraz pomiarkowałem, że to nie przelewki, charty *dały* mu wprawdzie *obrot* wkrótce po wymknięciu, ale to tylko zająca orzeźwiło, w jednej chwili *odsadził* się od chartów o jakie sto kroków, i wtem oddaleniu ruszył w otwarte pole. Moi towarzysze pocwałowali za chartami, ja zaś będąc pewnym, że charty ani *powąchają* zajęczego *omyka*, stanąwszy z koniem na małym pagórku, straciwszy z oczu i charty i zająca, zsiadłem z konia i oczekiwałem powrotu towarzyszów. Czekam i czekam, wypaliłem całego kabanosa, a chartów i myśliwych nie ma. Rozglądam się w około, wtem widzę, kica zając na kroków może dwadzieścia, ale jakoś dziwnie powolnie. Zrazu myślałem, iż niepłoszony swobodnie sobie kica, aby gdzie usiąść, uderzyło mnie jednak, że w tym biegu słuchy jego nie jak zwykle w górę postawione, lecz dziwnie kłapią naprzód opadając. Przebiegłszy kroków pięćdziesiąt, siadł pod miedzą. Nie chciałem go płoszyć ale raczej oczekiwać przybycia myśliwych i chartów, i poszczuć go. Tak czekałem napróżno blisko godzinę, wreszcie powziąłem przekonanie, które się ziściło, że panowie towarzysze, sama siarczysta młodzież, poluje sobie na piękne gdzieś w innej stronie. Znudzony oczekiwaniem, siadam na konia z postanowieniem wypłoszenia przynajmniej zająca i nasycenia się widokiem jego. Podjeżdżam blisko, zając nie wymyka, już go upatrzyłem, klaszczę, wołam, nie rusza się. Zsiadam więc z konia, idę ku niemu, i widzę wyraźnie, jak się forsuje, ale żadną miarą powstać nie może. Wtedy dopiero domyśliłem się, że to ten sam gracz, któregośmy po-

szczuli, pogubił charty, wrócił do swej kotliny i strętwiał z unużenia. Ująwszy za słuchy wziąłem go na konia, i jadąc stępą z zającem przed sobą, dotarłem po półgodzinnem szukaniu do moich towarzyszów, i opowiedziałem zdarzenie. Młodzi i niedoświadczeni nie wierzyli mi posądzając o münchhausyadę. Drugi podobny wypadek wydarzył mi się w Siedmiogrodzie. Łaskawy czytelnik przebaczy, że go obszerniej opiszę, bo też istotnie był niezwykłym Roku 1850 stałem z pułkiem mym w Siedmiogrodzie w Klausenburgu *(Kolosvar)*. W niedzielę zwykle z wiedzą i zezwoleniem kapitana wychodziłem z koszar za miasto celem bliższego rozpatrzenia się w okolicy. Pewnej niedzieli w Listopadzie, około południa poszedłem w stronę północną miasta, mając zamiar dojść do wsi *Sasz-fenes*, nader malowniczo nad rzeką Szamos położonej, od miasta o pół mili odległej. Szedłem przez obszerne błonia. Nie wesoło byłem usposobiony, a głównie truły mi swobodę wspomnienia polowań z chartami w rodzinnym kraju, i ich urok. Często stawałem rozglądając się wokoło. W dali rozlegał się duży kawał pola, kępami suchemi zasiany, dołami poprzecinany, wysoko dosyć trawą zarosły. Wyglądało to pole jakby korczowisko leśne. Przywoływałem sobie do pamięci wszystkie moje charciarskie przygody. Wtem pomyka koło mnie tęgi kopyra. Sądziłem, że stanąwszy wypłoszyłem go z kotliny, zając bowiem, gdy się jedzie lub idzie nie ruszy z miejsca, kicając zwolna siadł w trawie. Myślę, może on goniony? Zwróciwszy się mu prosto w bałuchy, idę, i już stanąłem nad nim, a on nie ruszył. Mając dosyć grubą laskę w dłoni, chciałem pociągnąwszy po słuchach zabić go, lecz żal mi się zrobiło; wziąłem więc za słuchy (za co mnie też ugryzł ostrymi swymi *strzyżami*, a ślad tego ugryzienia noszę do dziś na małym palcu), uniosłem na ręce pragnąc go żywcem ofiarować memu kapitanowi, który miał namiętność do myśliwstwa, szczególnie charciego Zając ciężki jak baran nie ruszył się prawie, walał mnie tylko turzycą. Zwróciwszy się napowrót do miasta wnet spotkałem jeźdźców, a przy nich złaja psów i charty. Nie unikałem ich, nie chcąc uchodzić za kłusownika. Wyżły wybiegły przeciw mnie, i szczekając rzucały się nie wiem ku mnie, czy ku zającowi Za nimi nadbiegła reszta psów, i poczęła szarpać za płaszcz. Myśliwi pospieszyli ku mnie nawołując psy, i zdziwili się nie mało widząc mnie opędzającego się na wszystkie strony psom z zającem na ręku. Scena godna ołówka Kostrzewskiego! Panowie ci ucieszywszy się do woli tym widokiem, przystąpili blisko ku mnie, a jeden z nich. młody i elegancki, zapytał mnie w niemieckim języku, co tu jako żołnierz na polu robię, i jakim sposobem dostał mi się w ręce żywy zając? Opowiedziałem mu wszystko, inni otoczywszy mnie w koło, pilnie słuchali, ale ile mi się zdawało, nie bardzo memu opowiadaniu wierzyli. Ów młody, jak się później dowiedziałem hrabia, nazwiska nie pomnę, gospodarz polowania, porozumiał się z swymi towarzyszami po węgiersku, odebrał od nich jednogłośną widocznie przyzwalającą odpowiedź, następnie przystąpił do mnie, i z całą uprzejmością zaprosił mnie jako Polaka i człowieka dobrze wychowanego na polowanie. Aż mi się gorąco zrobiło z uciechy. Przyjąłem zaproszenie z warunkiem, by w razie znacznego oddalenia hrabia mi ułatwił powrót do miasta. Chętnie przyrzekł to uczynić, poczem kazał jednemu z sług podać mi konia Był to koń z powierzchowności nie piękny, ale pełen ognia i temperamentu. Myśliwi z drwiącym uśmiechem patrzali na piechura wskakującego na bystrego konia, i zdawało im się pewnie, iż przy pierwszej lansadzie będę leżał jak długi, tknęło mnie to do żywego, więc czując się już dobrze w siodle, połechtałem konia z obu stron obcasami, na co mi odpowiedział potężnem wierzgnięciem i ogromnym szczupakiem ale nie wysadził mnie z siodła, a czując, że nie nowicyusza miał na sobie, wnet się uspokoił. Panowie myśliwi naocznie się przekonawszy, że i Polak umie zażyć konia choćby dzikiego, poczęli w widocznem zadowoleniem po kolei ściskać moją rękę. przypijając do mnie mocną jak ogień śliwowicę. Nie lada zadanie, z każdym, a było ich ośmiu, wypić, zwłaszcza, że nie tęgą do trunków mam głowę. wymówić się — wstyd, więc przyłożywszy manierkę do ust. przechylam się w tył. i udaję. że piję, ale w istocie językiem otwór zatykam. Nie dostrzegli fortelu. więc już ochoczo ruszyliśmy na polowanie. było nas wszystkich ze służbą dziesięciu ale psów ze dwadzieścia. między nimi chartów siedm. a reszta mięszanina różnych ras bułdogi. legawce. pincze, ogary. a w dodatku jeden kundys węgierski. biały jak śnieg, z długim jak u barana włosem, krótko obciętemi uszami i z czerwonemi oczyma. Na moje zapytanie, do jakiego użytku ma służyć ta zgraja psów, odpowiedział hrabia, iż psy mają szukać. a my ścigać się nawzajem. Otóż to sport prawdziwy! Mąk piekielnych doznałem na tem polowaniu. Panowie porozbiegali się w różne strony ścigając się o zakład do jakiegoś wskazanego przedmiotu, psy goniły za nimi, zamęt, wrzawa nie do opisania. Wtem pomyka zając. Trzebaż sobie wyobrazić chaos, jaki powstał, konie się rwą, psy jedne ujadają, drugie gonią głosem, inne dziaukają tylko, aż charty, istotnie dobre, wzięły wnet zająca, cała zgraja psów nadbiegła, i rozszarpała, nim sportsmeny na miejsce zdążyli. Gospodarz wydziwić się nie mógł, iż u nas takie polowanie nie znane. „My — mówił on — nie dla polowania wyjeżdżamy w pole, więcej nam idzie o konie, jak o lichego *nyula* (zająca), czy pan uwierzysz, iż konie nasze od 5ej godziny rannej bez pożywienia i napoju, bez odpoczynku muszą biegać o zakłady, i tym sposobem dają świadectwo swej krwi i wytrwałości“. Mimo tego sportu uszczuliśmy 5 zajęcy, a to głównie z mojej przyczyny, nie biorąc bowiem udziału w wyścigach. a siedząc na dzielnym koniu pilnowałem chartów, i prawie razem z nimi brałem zające. Wreszcie już się zciemniło, więc na spienionych koniach, a ciągle wyciągniętym galopem wróciliśmy do domu. Przed gankiem niewielkiego, ale pięknego i rzęsiście oświeconego pałacu zsiedliśmy z koni, a uprzejmy gospodarz, mimo oporu, wprowadził mnie do bogato przystrojonej sali jadalnej i przedstawił mnie niemłodej już damie, swej matce, którą przeprosiłem, iż w tak niesalonowym stroju odważyłem się jej przedstawić. Po sutym obiedzie chciałem przypomnieć gospodarzowi jego przyrzeczenie odesłania mnie do Kolosvaru, ale go odszukać nie mogłem. W obec rygoru wojskowego nabawiło mnie to niemałego niepokoju. Jeden z towarzyszów polowania, widocznie w zastępstwie gospodarza stara się mnie bawić z całą swobodą i lekkością salonową, jakby chciał, bym zapomniał o obowiązku powrotu do koszar, ale ja pomny odpowiedzialności za takie przekroczenie, ciągle przypominam mu konieczność opuszczenia miłego mi zresztą towarzystwa — niestety bez skutku. Około północy rozchodzą się panowie na spoczynek, a mnie umieszczono w osobnym pokoju. Niespokojny wychodzę z niego, i staram się służbę nakłonić do ułatwienia mi powrotu, ale na moje najwymowniejsze słowa odbieram krótką odpowiedź: *nem tudom* (nie rozumiem). Byłbym im pieszo uciekł, ale niepodobna w ciemną noc, nie znając drogi. Już cisza zaległa, światła pogasły, więc zrozpaczony wracam do mego pokoju, rzucam się nierozebrany na łóżko, i zasypiam snem twardym. Nazajutrz obudziłem się późno, zrywam się jak oparzony, przypominam sobie moją troskę, ale obok siebie spostrzegam kartę, i czytam: *Von Seite des Com-*

pagnie-Commando wird dem ..... Alex. U. ein 24 stündiger Urlaub bewilligt. St. Hauptmann. Wziąłem to zrazu za mistyfikacyę, lecz nie przypuszczając tak grubego żartu od uprzejmego hrabiego, nareszcie znając doskonale pismo mego kapitana, zapewniłem się o istocie rzeczy. Wstępujący w tej chwili hrabia wraz z swoim wczorajszym zastępcą śmiejąc się wyjaśnił mi rzecz całą. Wczoraj po obiedzie znikł, bo bez zwłoki udał się do Klausenburga w celu wyrobienia dla mnie u kapitana Stan., którego znał, urlopu. Nie potrzebuję wspominać, iż reszta dozwolonego mi pobytu w domu hrabiego, upłynęła nader przyjemnie w wesołem i dystyngowanem towarzystwie. Przebaczy mi łaskawy czytelnik, iż pragnąc udowodnić bezwładność zająca po dłuższym pościgu, odskoczyłem może za daleko i znużyłem jego uwagę — wie on dobrze, że prawdziwy myśliwy, a zwłaszcza charciarz — to gaduła zawołany.

Polowanie z chartami w dawnej Polsce nigdy nie było połączone ze sportem, a teraz tylko wyjątkowo. Zresztą najzacieklejszy nasz przeciwnik nie dokaże, byśmy piechotą za chartami uganiali, więc zawsze będzie nas miał wbrew prawdzie za sportsmenów, i nieustannie twierdzić będzie, że polowanie z chartami niszczy zwierzynę, ale to istna potwarz. Wszakże na każdem polowaniu z nagonką dziesięć razy więcej ginie zwierzyny, jak na charciem chociażby nawet zbiorowem. Nawet cztery smycze dobrych chartów w bogatym zwierzostanie nie więcej weźmie w jednym dniu jak 12 zajęcy, bo przecież każdego trzeba poszukać, nim go charty wezmą, każdego trzeba przytroczyć, rozwinąć się znowu w łańcuch, a to nie mało wymaga czasu przy krótkich dniach jesiennych lub zimowych; gdy przeciwnie z nagónką prawie bez pracy i przygotowań, w kilka strzelb nabije się tej zwierzyny do przesytu. Prawda, że charty włóczące się samopas po polach, tępią zwierzynę, ale czyż tego nie czynią także inne psy? Więc w ogóle pilnie przestrzegać należy, aby żadne psy same po polach nie uganiały. Robią też charciarzom zarzut, że zające często przez nich szczwane, wydają płód nędzny, bez wagi i urody. Ależ my chcemy mieć zające, które dobrze pomykają, a nie tłuste, ważne barany na rożen lub popłatne w handlu, bo nam idzie o prawdziwą przyjemność myśliwską. Zresztą polowanie z chartami ma swój urok, którego kniejowiec nigdy należycie nie oceni, tak jak charciarz zrosły z koniem, w ciągłym ruchu i rozgrzaniu krwi nie zrozumie, jaki powab wyczekiwać godzinami na stanowisku na napędzoną ofiarę, i z ukrycia mordować ją nie stoczywszy poprzednio z nią walki.

Dawniej w Polsce dawano chartom nazwy dopiero po ich wypróbowaniu, więc nazywano je według cnot lub wad, a gdy źle lub wcale nie ścigały, szły na gałęź. Miana te były: *Sokoł, Lotny, Dogoń, Utrocz, Chwytaj, Obrot, Uduś, Pałasz, Ścigaj, Wicher, Dmuchaj, Suwaj, Wytrop, Niepsuj, Skubaj, Doskocz, Dolot, Sułtan, Dekret, Wyprzedź, Wygrał, Pogoń, Chwytny, Przełaj, Wierny, Dosmycz, Dumny, Paź, Piorun.* Suki: *Iskra, Strzałka, Lotka, Lotna, Biercza, Cięta, Chwytna, Zoczna, Ładna, Czajka, Pyszna, Piękna, Rącza, Liszka, Pólka, Łasa, Zora, Korna, Dyana.*

Nazwisk tych jest mnóstwo, niepodobna wszystkich do pamięci przywołać. Były zawsze krótkie i jędrne a to w duchu języka polskiego, w którego bogatej skarbnicy każde słowo wyraża całe pojęcia.

Niektórzy twierdzą, a nawet głoszą o tem, że na Ukrainie, Podolu i Krymie polowano dawniej z chartami z pomyślnym skutkiem na dropie. Mniemanie to nie ma podstawy. Drop jakkolwiek ma lot przy podrywaniu się ciężki, to jednak przed chartami wcale przed wzniesieniem się do góry nie biega, jak struś lub kazuar. Nasłuchawszy się podobnych baśni w mojej młodości, pragnąłem szczuć dropia, aby się naocznie o tem przekonać. Pewnej jesieni, roku nie pamiętam, we wsi, w której mieszkałem, mającej położenie równe, a lubo koło Lwowa, noszącej cechę podolską, pojawiły się cztery pary dropiów. Było to przy końcu żniw, kopy pszeniczne stały jeszcze gdzieniegdzie w polu. Otóż wiedząc, że ptak ten bardzo ostrożny, wziąwszy charty w rękę, podkradłem się o ile możności blisko pod żerujące na ścierni ptaki, które, jak słusznie sądziłem, musiały być bardzo pomęczone daleką podróżą, po której, ile że to było jeszcze rano, nie mogły dostatecznie odpocząć. Tak pełzając owsami, to po za półkopkami udało mi się podejść je może na 150 kroków. Stadko to żerowało zupełnie w sposób naszych jendyków, jedne dzióbały kłosy, drugie siedziały widocznie spoczywając. Ponieważ ścierń była czysta, więc pokazawszy chartom ptaki zcicha jakby poszczuwając lisa zawołałem *tszi! tszi!* Charty mnie zrozumiały i pomknęły ku dropiom, a że były białawe, przeto drop stary rozglądający się na straży nie zaraz je spostrzegł. Charty doszły do dropiów może na 50 kroków, i w tej chwili zerwały się jak kaczki szybko i lekko, i wzbiwszy się w powietrze uleciały daleko. Dobrze to uważałem, iż lubo były obfitym jesiennym żerem nakarmione, oblane i ciężkie, nie potrzebowały przed wzniesieniem robić kilku lub kilkunastu pieszych kroków, owszem zaraz z miejsca wzbiły się w górę. Po latach kilku próbowałem znowu szczuć dropie, lecz równie bez skutku, i jestem pewny, że gdyby nawet na 10 kroków do nich zbliżyć się można, poszczuć i wziąć się nie dadzą. Opowiadanie mego wuja P. zupełnie mnie wyleczyło z tej znacznie już zachwianej wiary w możność szczucia chartami dropi. Na zapytanie moje, ażali na Ukrainie i w Krymie szczują chartami dropie, zaręczył najsolenniej, że mieszkając przez lat 40 na Ukrainie, i z zamiłowaniem zawsze oddając się polowaniu z chartami, nigdy tego sam nie doświadczył ani też o tem kiedykolwiek słyszał, i że podobne brednie są fantastycznymi utworami myśliwych pływaczów nie w innym zapewne celu, jak tylko w chęci zadrwienia z młodych fryców. Dodał, iż nawet na Kaukazie, gdzie dłuższy czas przebywał, a gdzie mnóstwo jest dropi, takie polowania się nie odbywają.

Przepiórki i chruściele, gdy się odlot spóźnił, i były mocno oblane i ciężkie, udawało się jednemu z moich chartów, nadzwyczaj sprytnemu w poskoku, pochwycić, a to z tego powodu, że jak zwykle w jesieni twardo dosiadywały i ciężko się podrywały, więc też zanim się wzniosły w górę, jednym podskokiem zchwycił i zdusił. Rzecz to wyjątkowa a jednak mogłaby mi służyć za temat do szerokiego rozwodzenia się, jak to chartami można na pewne łapać przepiórki, chruściele i kuropatwy.

Kończę już moją myśliwską gawędę z proźbą do sz. czytelnika, by ją przyjął jako przypomnienie własnych doświadczeń, mniej jako naukę, której udzielać kolegom moim w myśliwstwie wcale nie mam pretensyi.

Reasumując charakterystykę powierzchownej postaci dobrego charta, streszczę ją w czterowierszu znanym charciarzom:

„Kiedy chart garbaty,
Suka więcej płaska,
Kot uszedł zakaty;
Już Boska niełaska!“

Jakoteż w przypowieści myśliwskiej:

Gdy wyżeł tropiąc pole nosem orze,
Ogar patrzy po drzewach szukający w borze,
A chart nabył zwyczaju ścigać na przełaje;
Pierwszy, wtóry i trzeci kulą w łeb dostaje.

POLOWANIA LETNIE I JESIENNE

PRZEZ

ARTURA BARTHELSA.

VII. Jarząbki.

(Dokończenie).

Myślicie może chlebem, albo ciepłą strawą?
Ale gdzie tam? one tylko na lewo i prawo,
Wychylając się ciągle, wskazując ci z woza
Różne tropy na śniegu: *Hledzi!* *) *a ot Koza*,
A tut łoś, a tam świni, od zwierza do ptaka,
Nic nie ujdzie uwagi sprytnego dzieciaka
Tak, że wielkiego trzeba poszukać nieuka,
Żeby ci nie rozeznał tropu *cieciorukа*, **)
Lub powiedzieć nie umiał w największej gęstwinie,
Co przeszło? i czy przeszło dwie albo trzy świnie,
Nieraz ci pokazując trop lisa lub kozy
Twierdzą, że wyjść musiała z *Maryanowskiej* łozy,
Pójdzie zaś w *Jaśkiewickie*, gdzie pewnie zostanie
Do jutra, a tam będzie właśnie polowanie,
A dopieroż się cieszyć, i plany układać,
Zkąd trzeba będzie jutro nasamprzód zakładać,
I że na miejscu Sojki on z samego ranka
Takby się rozporządził, ażeby naganka
Poszła na sam początek już nie od *Lisiszcza*,
Ale przez *Kremce*, *Hradki* do *Dziereminiszcza*,***)
Bo chociaż tam jarząbków mniej trochę, lecz za to
Dzik pewny, niedźwiedź prawie, *a lisou bahato*.****)
I nazajutrz znów widzisz, malec twój kochany
W czapie zanadto wielkiej, w świtce oberwanej,
Z kawałkiem chleba w sakwie, a rososzką w dłoni,
Biega, drze się, *hamoni*, i tropi i goni
Zajadle i ochoczo, jakby to nie była
Praca, i ciężka nawet, lecz zabawka miła.
Widziałem, i to nieraz, jak w nagance takiej,
Z niedźwiedziem albo dzikiem dzielne te dzieciaki
Sprawiali się, nie tylko żaden się nie schował,
Ani unikał zwierza, lecz mu imponował,
Mimo komiczną postać i figurkę małą,
Swą energią, dzielnością i postawą śmiałą,
Że koniec końcem niedźwiedź z całem swem junactwem
Ustąpić był zmuszony przed takiem robactwem.
Nie dziw zatem, że w ciężkim zhodowani trudzie
Dzielni z nich wyrastają myśliwi i ludzie,
A zwłaszcza ludzie pełni biblijnej prostoty,
Choć bez najmniejszych pojęć religii i cnoty.
Daj Boże, żeby lud ten, wzór prawości wszelkiej
Dochował się najdłużej w prostocie swej wielkiej,
I z pod zgubnego wpływu policyi i popa.
Nie przestał być, czem dziś jest — ideałem chłopa?

---

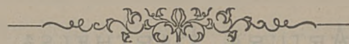
*) *Hledzi* patrz, od słowa *hledzić* patrzyć.
**) *Ciecieruk* cietrzew.
***) Wszystko ostępy i uroczyszcza puszczy Deniskowickiej.
****) *Bahato* bogato czyli wiele.

Przebacz mi czytelniku te pobieżne zdania,
Najniezgrabniej wetknięte w opis polowania
Na jarząbki, lecz człeka bezwiednie coś niesie,
Opisując tę Litwę i głuche Polesie
Pod względami myśliwstwa, dotknąć jednocześnie
Wszystkiego, z czem się rozstać tak było boleśnie,
Co było dla nas miłem, a tak sercu drogiem,
Że dzisiaj te opisy są, prawdą a Bogiem,
Raczej spowiedzią duszy. i chęcią wylania
Własnych uczuć, jak zbiorkiem wrażeń z polowania!
Nam to takie właściwe! zawsze i z wszystkiego
Wysnuć coś, co z miłością kraju ojczystego
Ma związek, a jest razem i jego pochwałą,
I żalem po tem wszystkiem, co już w niem zmarniało,
I nadzieją, że jeszcze coś się w nim obudzi,
I wiarą w lepszą przyszłość, a!... i w lepszych ludzi,
Że dziwić się nie można, iż i ja w ten sposób
Dotykam więcej wrażeń mych własnych i osób
Zrosłych ze mną w pamięci, jak owych naganek,
I strzałów czy do zwierza, czy do podrzucanek,
O których tyle tylko pogawędzić miło,
Ile to tyczy ludzi, z którymi się żyło,
Ile się łączy z krajem, kości naszych kością,
Krwią krwi naszej — tem samem najwyższą świętością!

EPILOG.

Tak świętością! — bez wątpienia,
Ale tylko wspomnieniami,
I tą siłą nawyknienia,
Skutkiem której nawet sami
Często sprawy nie umiemy
Zdać sobie, co jest właściwie
Pięknego w tej, co cenimy
I kochamy, naszej niwie!
Na której własna pokrzywa,
Pośród ostów i burzanów,
Milszą nam częstokroć bywa
Od róż i od tulipanów,
W cudzym rosnących ogrodzie,
Obcą ręką hodowanych,
Cudzej służących wygodzie,
I obcem sercem kochanych!
Ta bowiem nawet pokrzywa,
Którą człowiek własną ręką
Przez długie lata wyrywa,
I z niemałą tępi męką,
Dowodem jest dobrej ziemi,
I cieszysz się, że na grzędzie,
Gdzie się chwast tak bujnie plemi,
Przy pracy co zechcesz będzie!
Tak i Litwa! kraj to, który
Nic w sobie nie ma pięknego,
Ani w nim bogactw natury,
Ani postępu sztucznego,
Ani dobrodziejstw oświaty,
Ani nawet owej złotej,
Tak pospolitej przed laty

Serdecznej naszej prostoty.
Zaledwie dziś już tlejącej
Pod wpływem ciężkiej niedoli,
I tej serca ścieśniającej
Stuletniej blisko niewoli!
Niewoli, która gdy człeka
Pochwyci w szpony swe ciasne,
Rdzą nikczemności powleka
Wszystko w nim świetne i jasne,
I póty gryzie i pali,
Póty nurtuje do rdzeni,
Aż sztabę najczystszej stali
Na brudny żużel przemieni!
Kraj wreszcie nieobdarzony
Nawet siak takim klimatem,
Trzy ćwierci roku zmrożony,
Znośny ledwie krótkiem latem,
A jednak człowiek go kocha!
I pomimo trosk, kłopotów,
Chociaż go i łaje trocha,
Życie zań dać wszakże gotów!
Bo te szczegóły przeklęte,
Które z goryczą w nim łajem,
Ogółowo, sercem wzięte
Są jednakże **naszym** krajem!
Za który (chociaż nie rzadko
Człek się cicho wścieka w domu)
Jednak jak za własną matkę
Gotów zęby wybić komu!
Dla czego to? Bóg to raczy
Wiedzieć tylko — nie ja wcale,
Bo się tylko to tłomaczy,
Lecz tłumaczy doskonale
Tem uczuciem biednych matek,
(Nie pojętem dla obcego)
Dla najmniejszego z jej dziatek,
Chorego i krzykliwego,
Osypanego strupami,
Czerwonego obrzydliwie,
I piszczącego czasami
Nadzwyczajnie uciążliwie.
A jednakże biednej matki
Serce głównie doń się śmieje,
To jej dziecie jest nad dziatki,
To jej całe są nadzieje!
Bo to z tego będzie właśnie
Radość i sercu pociecha,
Jużto z ruchów widać jaśnie,
I z tego jak się uśmiecha,
I jak beczy i jak krzyczy,
I jak stęka, i jak brudzi,
Bo matczyska serce życzy,
Żeby wyszedł przecież w ludzi!
Tak i my, jakkolwiek znamy
Kraj nasz chorym i krzykliwym,
I nieraz go nazywamy
(Pod zły humor) obrzydliwym,
Przebaczamy mu zasady
Czerwone lub strupieszałe,
Wszystkie głupstwa, wszystkie wady,
I podłości nawet całe!
Dla przyszłości, dla nadziei,
Że ze wzrostem, i że z wiekiem
I on biedny też z kolei
Kiedyś!... stanie się człowiekiem!



WSPOMNIENIA

PRZEZ

Stanisława Moniuszkę.

Rycerski zawód zamknął się dla mnie po roku 1831. Z zbolałem sercem nad nieszczęśliwym losem Ojczyzny, dla której krew wylana na zwycięskich często polach bitwy, niestety nie była żyznym odrodzenia plonem — trzeba było rzucić miłe, rodzinne strony, wlec strudzone wojaczką kości w obczyznę, i tam w srogim żalu i boleści czekać zmiłowania Bożego nad nami. Mnie nie tyle ciężki los spotkał — zamieszkałem w Galicyi, przynajmniej śród swoich, mogłem odżywiać piersi wonią naszej polskiej przyrody, stąpać po ziemi, na której przodkowie nasi działali i legli, patrzyć na pomniki naszej dawnej chwały. Jako żołnierz rwałem się do myśliwstwa, polowałem też często w lasach Chorośny w Kołomyjskiem, które się prawie łączą z Karpatami Od dawna gościł tam nie jeden niedźwiedź, a było też dosyć dzików, sarn, wilków, lisów, zajęcy, kun, jarząbków, cietrzewi. Nie raz zdarzało się tam strzelać lisa lub zająca w dziuple albo na pochyłem drzewie,

Polowałem też w Karpatach, a zwłaszcza w Żabiu, jeżdżąc do kąpiel Burkuckich. Źródło wody żelezistej obfite, kamień z którego ona wytryska, twardy i gładki jak stal, im stalsza pogoda, tem silniejszy wodotrysk. Podróż do owego źródła była nader uciążliwą, odbywała się na huculskich konikach nie po drogach, lecz po ścieżkach wązkich nad urwiskami i uboczami, a że tędy szły dosyć gęsto transporta do Węgier, więc też na ścieżkach owych były powybijane jamy i progi. Koń huculski zna je dobrze, nim postawi nogę. obmaca dobrze i stąpi na pewne. Ledwie na milowej przestrzeni można było znaleść zamieszkaną chatę. Tak tedy cały orszak gości kąpielowych, kobiet i mężczyzn ruszał zwolna, z wszelkimi przyborami, pościelą, kuchnią, spiżarnią, przebywał rzekę nader rwącą w bród, i tu dopiero należało podziwiać zmysł przezorności i ostrożności huculskich koników, którym się zawdzięczało pewność pochodu, zdrowie, a nawet może i życie. Przybywszy na miejsce, znachodziliśmy tam umieszczenie skromne, ale dosyć dogodne w kilku porządnych domkach obywatelskich. Życie było, jak zwykle w kąpielach, wesołe i swobodne, powietrze przesycone aromatem roślin górskich, czyste i przenikające. Emigracyi naszej było nie mało, więc miła gawędka o przeszłości i przyszłości, a nie brakło też ciekawych epizodów łowieckich. Raz kilku z emigracyi i ja z nią najęwszy konie huculskie, ruszyliśmy w połoniny, a w przejeździe zderzyliśmy się z ogromną trzodą owiec. Juhasi zatrzymują nas i proszą usilnie, abyśmy zabili *maruchę*, który im wiele szkody robi. Widząc w koło liczną gromadę ogromnych psów owczarskich, pytamy, jakim to sposobem przy takiej obronie jeden niedźwiedź może tyle szkody robić? Zafrasowani odpowiadają: „Znają się oni z sobą, jak łyse konie, kiedy wpadnie niedźwiedź między owce,

to psy radują się i skaczą, bo on oderwie jedną, drugą łopatkę dla nich, a z resztą umyka do lasu.

Innym razem wyszedłem w połoniny na żętycę podczas najpiękniejszej pogody. Nagle słyszę grzmoty i widzę blaski błyskawiczne w oddaleniu, szum spadającego strumieniem deszczu dochodzi uszów moich, dwa brzemienne bałwany chmur starły się z sobą — a dzieje się to wszystko pod stopami memi podczas, gdy nademną słońce jasnem świeci promieniem. Urocze zjawisko!

Wracam do myśliwstwa. Wyjechałem w interesie w Stryjskie, z Skolego na samą granicę węgierską — do Żupania. Przyjechawszy tam dosyć rano, zastałem gromadę myśliwych i chłopów radzących nad świeżem wydarzeniem. Wczoraj skoczył niedźwiedź na wołu, pastuch widział, jak siedząc na tylnych łapach popędzał wołu przedniemi, to z prawej, to z lewej strony, aż zapędził w głęboki las w jar, tam dobił, i przykrył mchem i gałęziami. Tak zagrzebaną znaleźliśmy ofiarę, lecz bohatera owej tragicznej sceny nie zdołaliśmy odszukać. Stało się to podobno w majętności Targońskich, sławnych w swoim czasie pogromców dzików i niedźwiedzi. Wtedy z rycerzy owych pozostał tylko staruszek już bezsilny, wcale nie opuszczający pokoju. Czemuż oni nie spisywali kroniki swoich dziejów myśliwskich, ileżby się w niej znalazło dla dzisiejszego łowiectwa nauki i pożytku! Gdyby choć tradycya o nich pozostała — i tej nie znalazłem!

Mieszkając przez kilka lat w Leszczaniach, poznałem wielu zacnych obywateli, a przed wszystkimi godzien wspomnienia Wiktor Dąbrowski, wzorowy rolnik, pszczolarz, ogrodnik, leśnik. W jego lesie, którego miał do 1000 morgów, szły zręby nie w następstwie po sobie, lecz w różnych punktach, a to jedynie ze względu na zwierzynę, która wypłoszona z jednego przechodziła do drugiego, i w nim pozostawała. Zręby czyścił to na ciemno, to na jasno, zasiał, zasadził mnóstwo jedliny, sośniny, buczyny. Polował zwykle z psami gończymi, a ubijał zwierzyny tylko tyle, ile kuchnia potrzebowała, zresztą namiętnie w swoim czasie strzelał ptactwo błotne, ścierniowe. Kuropatwy przywoził z Bessarabii, które wszakże, przeczuwając zapewne zawalną zimę, odlatywały. Sarny sprowadził z milowej prawie odległości, a to w taki sposób. Drzewa nacierał kamforą, gdzieniegdzie na pieńku sypał sól i garść siana, tak przywabił kilkoro sarn do miejsca dogodnego, gdzie miały wodę, paszę, położenie miejscowości wzgórzyste, a w zimie dodawał im siana. Wkrótce rozmnożyły się znacznie. Sąsiad jego bliski, Borkowski, właściciel Zaleszczyk małych, również wzorowo prowadził myśliwstwo, a byli to przyjaciele, myśliwi zapaleni, więc też społem wszystko robili, a i polowali razem, najmowali w okolicy polowania, i zapalczywie ścigali grubego zwierza.

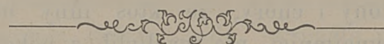
Dziś podobno w Olejowie u hr. Kazimierza Wodzickiego wzorowo pielęgnuje się zwierzyna, jak mi opowiadano, zawieszają tam na gałązkach siano i owies dla zajęcy i sarn, a dla kuropatw udeptuje się w polu na pewnych miejscach śnieg, i sypie z plewą hreczka. Mają żer — więc trzymają się w miejscu.

O gospodarstwie łowieckiem czeskiem i niemieckiem wiem, że tam robią wielkie zagrody, a gdy tylko śnieg padnie, przywiązują w nich na gałązkach siano i owies. Wnet zające oswajają się z ową zagrodą, i często do niej zachodzą. W pobliżu zagrody urządzone są budki dla myśliwych, którzy czatują, aż się liczniejsza gromadka zajęcy zbierze, wtedy pociągają sznur idący od budki do drzwi zagrody, i zamykają je. Nazajutrz wchodzą myśliwi do zagrody, i robią przegląd zajęcy, niektóre zabijają, inne puszczają na wolność nietknięte lub z obciętym w połowie słuchem. Tak znaczą szczególnie nadliczbowe samce, a wiadomo, że gdzie nadto samców, tam mniej płodnych samic, co zresztą łatwe do wytłumaczenia. W następnym roku strzelają tylko do znaczonych.

Pod każdym względem przekładam polowania litewskie nad tutejsze, a powody podałem w poprzednich moich gawędach. Nie ubogą jest i Galicya w zwierzynę, ale brak jej jeszcze rozumnego łowiectwa.

Co do sposobu polowania, to jako stary myśliwy, nie mogący się jakoś pogodzić z ową dziś tak używaną i przechwalaną naganką, wolę ja łowy z dobrymi pieskami gończymi. Co to za rozkosz, gdy dojeżdżacze, dobrze znający wagę kniei, podkładają pieskami, nucąc trąbką miłą sercu myśliwego pieśń na pobudkę zwierzyny, gdy odezwie się cudna melodya gonu psów, gdy myśliwy okiem i uchem rwie się w knieję, oczekując spotkania ze zwierzem, gdy strzały raźnie idą po sobie. Jakżeż się wtedy dusza raduje! A z naganką! — stój jak posąg kamienny — czekaj godzinami, nim huczka zajdzie i odezwie się, i słuchaj potem monotonnego jej głosu — to jakoś serca prawdziwego myśliwego nie ożywia! — Ale co kraj — to obyczaj!

Nie ma bo rady dla duszy Litwina
On zawsze swoje i swoje wspomina!
A i po śmierci — choćby mieszkał w raju,
Tęsknić on będzie do swojego kraju!!



KORESPONDENCYE.

W ostatnich dniach Czerwca b. r. odebrałem z Nadwórny telegram: „Martinetz otropił doskonale dwa niedźwiedzie“, a ponieważ mogłem się na cztery dni od moich zawodowych czynności uwolnić, postanowiłem znowu tam jechać. Nie zazdroszcząc nikomu strzału, starałem się usilnie, by jeden lub kilku myśliwych wzięli udział w tej wycieczce, ale ze wszystkich stron odmawiano mi towarzystwa, lubo udawałem się jedynie do wytrawnych myśliwych i dzielnych strzelców, a nie do dyletantów. Jednemu przeszkodą był sejm, drugiemu sprawy zawodowe, inny wybierał się w podróż za granicę lub też miał smutny obowiązek złożyć przyjaciela do wiecznego spoczynku, — musiałem więc sam jechać.

Wiadomości, jakiemi nas p. leśniczy Martinetz w Hołodyszczu powitał, były bardzo obiecujące, wszędzie otropiono niedźwiedzie, a szczególnie na górach Maxymca i Leurdy, postanowiono zatem polować na owych górach.

Dnia 28 Czerwca ruszyliśmy wzdłuż romantycznej doliny Bystrzycy aż do mostu Pryłuki, i poczęliśmy się wspinać po prawej stronie owej doliny na górę Maxymiec (762 metrów), której grzbietu dosięgneliśmy po dwugodzinnym prawie pochodzie. Na szczycie znaleźliśmy w rosie świeże zupełnie tropy dużego niedźwiedzia, który właśnie przemknął do miotu, a gdy z powodu ruskiego święta zebrało się przeszło 40 gońców, była więc uzasadniona nadzieja, że niedźwiedź wyjdzie na strzał. Śliczny był ranek, ale już podczas pochodu na górę chmurzyło się coraz bardziej, a gdyśmy dosięgnęli szczytu, zawrzała burza. Silny, zimny wiatr napędzał chmury deszczowe, z których ściekał drobny ale gęsty deszcz, temperatura zniżyła się tak dotkliwie, że ja mimo flanelowej koszuli, ciepłego surduta i gumowca bardziej marzłem, jak na polowaniach ubie-

*

głej, pewnie bardzo srogiej zimy. Nawet leśniczowie dobrze zahartowani w czasie długoletniego pobytu w górach, narzekali bardzo na zimno. Najbardziej dokuczał wicher wyprawiający z nami igraszkę, zaledwie bowiem zaatakował nas potężnie z przodu, wnet zwrócił się i parł gwałtownie w plecy, a powtarzało się to nieustannie. Mimo niepogody polowanie nie było bez wzruszeń, psy bowiem owczarskie goniły kilkakrotnie w kierunku strzelców, zwracały się jednak ku dolinie, a ponieważ nadto liczni gońcy skupiali się i tworzyli luki, przeto przebijał się niedźwiedź przez nagonkę z łatwością tak w pierwszym jak w drugim miocie. Sądząc po głosie psów dotarł niedźwiedź w drugim miocie do samego brzegu lasu, i ztamtąd dopiero nawrócił. Gońcy utrzymywali, że spostrzegł białe, słomiane kapelusze myśliwych, stojących na grzbiecie góry na stanowiskach prawie odkrytych, prawdopodobniejszem jest jednak, że przy częstem zwracaniu się wiatru, zwietrzył zbliska myśliwych. Raz nawet usłyszałem w pobliżu łomot jakiś, ale sprawił go mój stołek myśliwski, który odmawiając dalszej służby, rzucił mnie na niepożądane wcale w tej chwili łoże w miękkiej trawie, podeszwom butów moich otworzył daleki widok, a sąsiadom dostarczył bogatego przedmiotu do serdecznej wesołości.

Drząc z zimna zstępowaliśmy po drugim miocie w prostym kierunku bez jakiejkolwiek drogi lub ścieżki na dół, a jakkolwiek pochód ów był bardzo mozolny, to jednak ów ciężki trud rozgrzał zaskrzepłą w naszych żyłach krew. Nazajutrz tak byłem znużony i chory, że ktoś inny byłby się położył do łóżka, a przynajmniej nie wychylił z pokoju, atoli namiętność myśliwska przeważyła, odważyłem się wziąć udział w dalszem polowaniu, ale postanowiłem na koniu wspinać się po górach. To postanowienie omal nie przyniosło dla mnie bardzo złych skutków. Dostawiono mi huculskiego konika, na którym umieszczono drewniane siodło, zaimprowizowano strzemiona z sznurków, a siedzenie uczyniono wcale dogodnem podłożeniem mego *plaida*. Konie huculskie bardzo są pewne, stąpają tak ostrożnie, iż można z całem bezpieczeństwem im się powierzyć, o prowadzeniu ich zaś przez jeźdźca uzdeczką ani myśleć można.

Wczorajszem doświadczeniem nauczeni, zamówiliśmy tylko 12 gońców, ale samych dawnych kłusowników i ich synów, i w istocie owa szczupła nagonka goniła z taką znajomością miejscowości i swego zadania, że zaprawdę żal ogarniał, iż rezultat z powodu zbyt małej liczby strzelców był wcale nieodpowiedni.

Wstęp na górę Leurdę odbywał się tym razem z drugiej strony wcale wygodną ścieżką, w rozpadlinie, którą na wiosnę z powodu śniegu iść nie było można. Przebyliśmy już prawie dwie trzecie części drogi i zbliżali się ku jakiemuś szałasowi, gdy na drodze wijącej się wzdłuż głazami pokrytego stoku, chciałem się obrócić, aby za mną idącego leśniczego o coś zapytać. To poruszenie wszakże wywołało ten skutek, że zwolnione siodło się obróciło, a moje usiłowania utrzymania się na siodle stały się bezskutecznemi; spadając chwyciłem wprawdzie jedną ręką konia za grzywę, ale niestety za krótko, wnet więc uczułem, iż mi się z rąk wymyka, jeszcze tylko kilka sekund a już musiałbym był z zawieszoną na ramieniu strzelbą spaść na ostre, poszczerbione kamienie i stoczyć się z znacznej wysokości. W tej krytycznej chwili przyskoczył w ogromnych susach leśniczy Martinetz, i chwycił mnie prawie w powietrzu. Gdybym był spadł, to niezawodnie ja i strzelba moja bylibyśmy się bardzo rozbili.

W szałasie zastaliśmy pastuszków, którzy nam nader pocieszną zwiastowali wiadomość, że duży niedźwiedź tej samej nocy usiłował wedrzeć się w zagrodzenie i porwać jedną sztukę z bydła, i że jedynie w skutek ich wrzasku i ujadania psów przepłoszony, pomknął ku miotowi, właśnie do przepędzenia przeznaczonemu. W celu starannego obstawienia wszystkich przesmyków owego miotu, trzeba było najmniej 5 do 6 strzelców, nas zaś było tylko trzech t. j. ja, adjunkt lasowy Pompejn, i leśniczy Martinetz. Postanowiliśmy oba stanowiska przy dolnym przesmyku w kierunku góry Berezewaczka obstawić nagónką, średnie zaś stanowiska strzelcami, a ostatnie stanowisko wcale nie obsadzać, ponieważ w około niego na wyżynie całe stado bydła się pasło. Ja stałem na tem samem stanowisku, na którem przed dwoma miesiącami strzelałem, i miałem podczas długiego miotn dosyć czasu rozpamiętywać wydarzenia owego pamiętnego dnia. Na prawo od mego stanowiska rozścielała się obszerna połonina, na której, jak już mówiłem, pasło się liczne stado bydła. Uwagę moją zwracałem głównie naprzód, i tylko chwilami spoglądałem ku malowniczo ugrupowanemu, pasąc się powolnie kroczącemu bydłu. Gon rozpoczął się w umówionym czasie, i już może większą część miotu przepędzono, gdy pasące się po prawej stronie bydło zbiegło się w kupę, i w szalonej ucieczce ku mnie pędziło, a równocześnie dał się słyszeć głos pastuszków: „Medwid' medwid'! W istocie przedarł się niedźwiedź, uciekając przez połoninę, przez stado bydła, i szczęśliwie dotarł do ochronnego gąszczu. Oczywiście miot cały był bez rezultatu, lubo jedynie brak strzelców był powodem złego skutku. Leśniczy Martinetz, który takie sobie obrał stanowisko, iż daleki miał widok w jar, widział zaraz w początku gonu, jak niedźwiedź z jaru wyszedł, jak około 300 do 400 kroków prosto przed mojem stanowiskiem stanął, a następnie w dół pomknął. Wkrótce potem wrócił niedźwiedź, prawdopodobnie zaniepokojony przez gońców ustawionych na dolnych stanowiskach, stanął znowu na chwilę przed mojem stanowiskiem, i ruszył pędem, mnie i moje stanowisko w półkolu okrążając, przez połoninę. Rozmyślnie opisałem obszernie owe szczegóły, aby z naciskiem podnieść, iż niezbędnie potrzebną jest pewna liczba strzelców dla obsadzenia przesmyków i osiągnienia pomyślnego skutku polowania, jakoteż że niedźwiedź w zwykłym przebiegu rzeczy trzyma się wiernie zwykłych przesmyków.

Lubo te dwa dnie nie dały pożądanego rezultatu, to jednak wyznaję szczerze, że byłem zupełnie zadowolony pomny przysłowia niemieckiego: „*Alle Tage ist Jagdtag, aber nicht alle Tage ist Fangtag*“. Wszak dla prawdziwego myśliwego samo polowanie jest rozkoszą!

Co do drugiego, przezemnie zabitego niedźwiedzia stwierdziłem po przesłuchaniu chłopów i leśnych poszukiwaniem się zajmujących, że istotnie znaleziono niedźwiedzia już nieżywego, ale sprawców nie zdołano odszukać. Nie można się jednak temu dziwić, znaną jest bowiem przebiegłość kłusowników w tamtych okolicach jakoteż łączność w zatajaniu kradzieży zwierzyny. Przykład niech tę rzecz dosadnie objaśni. Przeszłej jesieni rozdarł niedźwiedź na połoninie góry Maximiec kilkakrotnie po sztuce bydła, a gdy znowu nadeszła z połoniny wiadomość o rozdarciu krowy, postanowił leśniczy Martinetz wyczekiwać z bratem swoim powrotu niedźwiedzia przy ścierwie. Obaj strzelcy zajęli stanowiska o 20 niemal kroków od rozdartej krowy, a po kilkogodzinnem oczekiwaniu przyszedł istotnie niedźwiedź do swego łupu. Z powodu ciemnej nocy, mieli myśliwi równocześnie strzelać, co też uczynili, poczem niedźwiedź runął, zerwał się jednak natychmiast, i ruszył

zwolna z strasznym rykiem. W nocy poszukiwanie nie było możliwe, leśniczowie udali się więc do leśniczówki, a nazajutrz z brzaskiem dnia wyruszyli w celu poszukiwania. Szli za tropem i obfitą juchą aż do miejsca, gdzie niedźwiedź wysilony leżał, ale nieznani amatorowie cudzej zwierzyny wcześniej od nich wstali, nieżywego niedźwiedzia dokładnie wyczyścili i zabrali. Napróżno obiecał leśniczy Martinetz prócz zupełnej bezkarności nagrodę 10 złr. za skórę, tajemnica, kto był sprawcą kradzieży, do dzisiaj nie wyjaśniona, jakkolwiek niezawodnie trzy albo cztery osób brało w niej udział, lub przynajmniej o niej wiedziało.

Może ja będę szczęśliwszym i bodaj głowę pozyskam!

Dr. Ferdynand Kratter.

Zamieszkującemu niegdyś Pokucie u podnóża Karpat, toczek cietrzewi nie jest mi obcym, i zawsze sie nań z wielką przyjemnością wybierałem. Później rzucił mnie los w inne strony, gdzie cietrzewi nie było, często jednak szukałem sposobności, by z nadchodzącą wiosną odnowić miłe, dawne wspomnienia. W tym roku jak smakosz tęskni za truflą z Perigord, tak ja zatęskniłem za toczkiem. Opatrzony od kilku łaskawych w pozwolenie polowania w ich lasach, puściłem się na rozdobędy. Używam tu tego wyrazu, gdyż tak właścicielom owych lasów, którzy nie są myśliwymi, jakoteż ich straży leśnej obcym był ten rodzaj polowania na koguty, trzeba więc było wywiedzieć się o toczku, wysłuchać cietrzewie i budkę przyrządzić. Ósmego Kwietnia wziąłem dwa grubopłaskie deresze, wóz na żelaznych osiach, wypakowany prowiantem podróżnym, Iwasia fornala jako stangreta, i puściłem się w drogę z towarzyszem myśliwskim panem Ch., który znał miejscowość dokładnie. Wędrówka ta nie bardzo była wygodna, na drogach brak rowów, dziury w mostach, i to jeszcze szczęśliwie, bo zdarzało mi się napotykać prawdziwe autonomiczne mosty, co to powinne być w jakiemeś miejscu, a jednak ich nie ma. Wszystko to nieraz przywodziło mi na myśl ustęp ze znanej piosenki kochanego pana Barthelsa: „Departament niższej Sekwany: Gdyby nie nasze gościńce, groble, mosty i płoty". Oczywiście pan Marszałek nie myśliwy, i nie zna toczku, pomyślałem, gdyż staranniejby utrzymywał tę część powiatu, lub przynajmniej jego obite boki i zbolałe krzyże choćby z jednorazowej tylko podróży, dałyby mu miarę, na co są narażeni jeżdżący tamtędy. — Po kilkogodzinnem wleczeniu się przebyłem jedną z naszych większych rzek promem, i jak się z napisu na tablicy przekonałem, wjechałem w powiat Lichwa-czów. Tu jakoś raźniej i składniej szła podróż, nad wieczorem dostrzegłem „Do wygody", miejsce przeznaczenia, i wkrótce dobiliśmy do portu. Leśniczy gospodarz oświadczył na wstępie, że lubo nie jest myśliwym jednak po otrzymaniu odemnie zawiadomienia przygotował kilka budek. Po lekkim posiłku ułożyłem się do spoczynku, by po północy być gotowym do *prehodu.* O drugiej godzinie wyruszyliśmy, ja z leśnym a mój towarzysz z p. leśniczym, każdy w inną stronę. Dobrze przed brzaskiem dnia stanąłem na miejscu, budka była zrobiona z chrustu, a mój przewodnik kazał mi do niej włazić prawie na czworakach. Wiedziałem zaraz, że nieumiejętność leśniczego robienia budek pozbawi mnie tego ranka strzału, lecz już rady na to nie było, wlazłem więc. Leżąc jak długi, po krótkiej chwili usłyszałem znane mi dobrze, a dla ucha myśliwego milsze od tonów wszelkiego instrumentu, choćby w rękach mistrza, tokowanie. Naprzód dało się słyszeć syczenie jednego koguta, następnie odezwało się kilka tu i owdzie rozrzuconych a niewidzialnie ciekących cieciórek, po chwili zaś ustało syczenie i usłyszałem bełkot jednego, dwóch, trzech kogutów koło mnie, który z najwyższych tonów nagle przechodząc w niższe i mięszając się z łopotaniem skrzydeł, tworzył jakąś muzykę nie *„przyszłości"* to prawda, ale stokroć od niej milszą. Nie moich to sił rzeczą dokładny opis toczku, sądzę, że nawet pióro poety ani pendzel malarza nie zdołają go oddać tak, jak go dusza myśliwego słyszy i widzi, więc tylko tych kilka słów nakreśliłem pod świeżem wrażeniem gry koguta, której, kto jej nie słyszał, ani odczuć ani też wyobrazić sobie nie potrafi. Cietrzewie były odemnie na kroków sto, a może i bliżej, na horyzoncie coraz bardziej rozjaśniać się poczynało, a ja istny męczennik, leżąc strzelić nawet nie mogłem. Mrozik tego dnia ścisnął przed wschodem słońca niespodzianie, więc toczek skończył się prędzej, jak zwykle, a ja wylazłem wreszcie z mej nory. Na leśniczówce narzekał mój towarzysz na niewygodną budkę, i jako młodszy i niecierpliwszy wyszedł z niej, podchodził siedzącego na brzózce cietrzewia, nawet strzelił, ale chybił z powodu ciemności i odległości. Wysłuchawszy naprzód, postawiwszy budki i przeniósłszy kilkakrotnie w różne strony, polowaliśmy jeszcze przez cztery dnie na Wygodzie. Z przyjemnością i wdzięcznością dla straży leśnej muszę zaznaczyć, że ci panowie pomagali nam bardzo chętnie tak tu, jak i w dalszych naszych wycieczkach. Piątego dnia ruszyliśmy dalej wioząc z sobą trzy ładne koguty. Po dwóch milach lasowej, ale wcale dobrej drogi, wjechaliśmy w powiat Wujowski. Rzeka Łojówka wezbrana przez śniegi w górach puszczające, utrudniała dalszą jazdę, wypadło więc rozbić obóz w środku lasu i przebyć dni kilka bez dachu i pieca, w dzień drzemiąc na łosiowej skórze, czytając, prażąc przy ognisku, by się czem pożywić, a pierwszy brzask dnia już nas stawiał na czatach. Zastaliśmy tu wiele cietrzewi, ale wysłuchiwanie i urządzanie budek zabrało nam dwa dni. W następnych dniach były trzy stare koguty owocem naszych trudów. Z tęsknotą i żalem opuszczałem te miejsca, lecz dzień powrotu już był nadszedł. Jak długo jechałem powiatem Wujowskim, podróż szła raźnie, drogi tam wszędzie rowami okopane i szutrem wysypane. Zasługa to dawniejszego pana Kreishauptmanna, któremu też wdzięczny okrąg pomnik nawet w swem mieście stołecznem wystawił. Gdyby pan Marszałek Wydrówki choć w części go naśladując poszedł za jego przykładem, to nie wątpię, że współobywatele jego powiatu wznieśliby mu również pomnik w Wydrówce ku wiecznej czci i pamięci. — Po czternastu blisko dniach peregrynując, wróciłem do domu, a jeszcze dziś brzmi mi w uszach gra koguta i ćwierkanie zalotnych cieciórek. Radzę wszystkim młodym strzelcom, którzy radziby stać się myśliwymi, i może nimi kiedyś będą, którzy innej prócz szaraka przed nagónką zwierzyny nie znają, a strzelają tylko do wysłuchanych kuropatw, — by jechali na toczek. Prawdziwy to sport myśliwski — toczek tych dwóch królewskich ptaków, głuszca, dla trudów i kosztów nie każdemu przystępnego, i cietrzewia dostarczającego równego jak tamten uroku. Jedźcie więc z przyszłą wiosną na toczek, gdzie kto chce i może, życzę wam sercem polskiem a wyrazem niemieckim szczere *Wajdmannsheil!* *S. O.*

Polowałem w różnych lasach na niedźwiedzie, mimo jednak, iż byłem świadkiem różnych zdarzeń, nie miałem szczęścia spotykania się z nimi. Pierwszego niedźwiedzia widziałem na ciągu słonek wiosennym, stał w odległości może 30 kroków zupełnie spokojnie, i przeszedł koło mnie. Słonczym śró-

tem niepodobna było do niego strzelać, trzeba więc było z rezygnacyą przypatrywać się temu imponującemu zwierzęciu. Był to niedźwiedź wielki, brunatny. — Innym razem zdarzyło się, że niedźwiedź powalił na pastwisku pod lasem mego własnego wołu, wyżarł z niego wnętrzności i spory kawał mięsa, resztę zaś pozostawił. Sądziłem, że wróci do porzuconej strawy, zasiadałem więc przez kilka nocy w tem miejscu, ale napróżno, kazałem jednak gajowemu czatować nań, jakoż po kilku nocach udało mu się dwoma strzałami zabić go. Była to niedźwiedzica wielka, siwo-żółtawej barwy, i zapewne była niedźwiedną, bo sutki były sporo mlekiem wypełnione. — Raz znowu polowałem w Taniewie. Ponieważ mioty brane sąsiadowały z leśniczówką, nie można się było spodziewać niedźwiedzia, a jednak na drugiego odemnie myśliwego, kameralnego leśniczego D. wyszedł mamzer, który po strzale zatoczył się i jęknął, a na ów głos pojawiła się niedźwiedzica. spostrzegłszy pana D.. wspięła się na tylne łapy, i prosto nań ruszyła. On strzela śrótem, może nawet wcale chybił z przerażenia, cofa się, wywija, niedźwiedzica za nim, a ciągle przedniemi łapami sięgała, aby go objąć w śmiertelnym uścisku. Nadbieżono wprawdzie z pomocą, ale strzelić niepodobna z powodu nierozłącznej bliskości zwierzęcia z myśliwym, aż wreszcie nowy jęk mamzera odwiódł niedźwiedzicę od nietkniętego wprawdzie, ale strasznie przerażonego pana D. — Myśliwi nie mieli w lufach kul, zresztą obawiano się rozsrożyć niedźwiedzicę, któraby wtedy mogła rzucać się na obławników, zaniechano więc dalszego prześladowania. Nazajutrz znaleziono nieżywego mamzera, a niedźwiedzicy już w kniei nie było. Pan D. zachorował w skutek strasznej irytacyi na tyfus, i przeleżał kilka tygodni w łóżku.

W roku 1878 w Listopadzie zobaczył mój gajowy na ponowie ślad niedźwiedzia, poszedł więc za tym śladem, i zastał niedźwiedzia zajętego rozrzucaniem mrowiska, podsunął się do niego na 30 kroków i strzelił doń grubemi lotkami. Niedźwiedź ryknął i zatoczył się w parów. Nim gajowy zdołał nabić swoją pojedynkę, już niedźwiedzia nie było, zresztą już zmrok wieczorny zapadał, więc niepodobna było pociemku rannego niedźwiedzia prześladować. Gajowy uwiadomił mnie o tym wypadku twierdząc, że niedźwiedź mocno postrzelony nie mógł daleko pójść. Na nieszczęście przez całą noc padał deszcz, ponowa znikła, lało dni kilka jak z cebra, ani pogonki ani strzelców nie było można dostać na taką słotę, trzeba więc było ciągle polowanie odkładać Tak minęło dwa tygodnie, nim świeża ponowa się rozścieliła. Mój gajowy, teraz w dubeltówkę uzbrojony, znalazł świeży trop niedźwiedzia, ale spostrzegł odbite tylko trzy łapy, a czwartą ciągniętą widocznie za sobą. Było rzeczą pewną, iż to ów przez niego postrzelony niedźwiedź. Idąc dalej za śladem, natrafił na niedźwiedzia, który, skoro go ujrzał, wspiął się na tylne łapy, wyciągając przed siebie lewą przednią łapę, prawa zaś bezwładnie obwisła. Szedł prosto na gajowego, ten przypuszcza go na 20 kroków, i kładzie trupem dwoma strzałami. Przy obielaniu niedźwiedzia pokazało się że miał prawą łopatkę całkiem zgruchotaną, już przeto jedną tylko przednią łapą się posługując, nie mógł swobodnie żerować, więc żołądek był wypełniony mchem i ziemią, i niezawodnie byłby z głodu zginął. Byłto niedźwiedź całkiem czarny, średniej wielkości, jeszcze młody sądząc po zębach, lecz z gatunku wielkich niedźwiedzi, bo miał grubą kość i wielkie szpony. Przy tej sposobności muszę uczynić uwagę opartą na własnem doświadczeniu, że kolor niedźwiedzia nie stanowi odrębnego gatunku, bo on zawisł od wieku, od pory roku i pożywienia. Są więc odmiany czarnych, brunatnych, z białawym pasem około szyi, a najlepszym tego twierdzenia dowodem jest, że oswojone i po menażeryach trzymane niedźwiedzie często barwę zmieniają. Winienem jednak dodać, że u nas w Galicyi, w Węgrzech i w Siedmiogrodzie istnieją dwa odrębne gatunki niedźwiedzi, jeden mały tak zwany bartnik, nie wiele większy od dużego kundysa, którego korpus jest słabszy, kości mniej grube. pożywienie głównie roślinne, pszczoły i mrówki. Ten nie napada trzody, owce i bydło rogate. Drugi jest wielki, ma grubą kość, wielkie szpony, i dosięga wielkości dwuletniego wołu, waży trzy do czterech cetnarów, a żywi się tak jak bartnik dzikimi owocami, pszczołami i t. d., ale opada też trzody, owce, bydło rogate, konie, a nawet atakuje grubego dzika. *Edward Hosz.*

Turza wielka, 10 Sierpnia.

Fakt podany przez poprzednika mego p. M. Brz. w Nr. 8 „Łowca“, datowany z Doliny, nie uważałbym jako sprostowania godny, gdyby nie ów wzgląd, iż sz. korespondent w owem sprawozdaniu, nie wymieniając wprawdzie mego nazwiska, dotyka dozoru lasów i łowiectwa, opisując bez bliższego zbadania rzeczy wypadek postrzelenia niedźwiedzia w Iłemi. Nie Iwan Berehowaty c. k. dozorca lasów w Iłemi na dniu 4 Czerwca, lecz Iwan Mekietyn, strażnik leśny a zarazem dozorca łowiecki w Iłemi, (rewir Łopianka), postrzelił 26 Maja r. b. na krzakach czyli połoninach gminnych Iłemi, bardzo grubego niedźwiedzia, a więc na gruncie należącym do gminy, nie zaś do lasów kameralnych. Polowania na owym obszarze gminnym, położonym w środku lasów kameralnych, w których polowaniem p. Brz przez lat pięć zarządzał, nie uważał on za potrzebne zadzierzawić, co obecnie przezemnie dokonane zostało.

Iwan Mekietyn miał z innymi włościanami owce w zagrodzie leśnej, które tam zawsze nocowały. Ponieważ niedźwiedź w ostatnich dwóch nocach wydusił 18 owiec, i pomimo naszczuwania psami wcale się od tego nie odstraszał, przeto kilku odważniejszych chłopów z drągami i gromadą psów, Iwan Mekietyn zaś z strzelbą zrobili na niego wyprawę. Nie długo czekano na niedźwiedzia, mimo szczekania psów i hałasowania ludzi podszedł on pod zagrodę, i począł ją łamać. Iwan Mekietyn zbliżył się do niego na kilka kroków, i przyłożywszy prawie lufę, strzelił kulą, która przeszyła go na wylot. Niedźwiedź farbował zrazu bardzo, później wcale nie i przeszedł poza granicę gminną. Nie pozwoliłem iść za tropem bez farby, będąc pewnym, iż postrzał nie był śmiertelnym, jakoż dobrze się stało, bo dziś jest już rzeczą stwierdzoną, że niedźwiedź żyje, bo są świeże tropy jego. Przybywszy nazajutrz do Iłemi, ukarałem strażnika odjęciem mu płacy za dozór łowiecki, chociaż tenże strzelał do niedźwiedzia w obronie swojej własności.

Muszę tu oddać hołd prawdzie, iż c. k. zarządzca lasów kam. w Łopiance Wny Kornicki bardzo starannie się łowiectwem opiekuje, i żadnego nadużycia bezkarnie nie przepuszcza, byłby też strażnik za przestępstwo surowo ukarany, gdybym się za nim nie wstawił. Mogę więc p. korespondenta zapewnić, iż c. k. Dyrekcya lasów i domen w Bolechowie czyni wszystko, co może, w celu ustalenia racyonalnego łowiectwa, jeżeli zaś kiedykolwiek wydarzy się jakie nadużycie, to winę jego raczej własnemu niedozorowi przypisać należy. Na to Dzierżawcy łowiectwa w lasach kameralnych mają łowczych, aby ci poruczonego ich opiece polowania troskliwie strzegli za pomocą straży myśliwskiej, Władzy lasowej i policyjnej.

W. Majewski.

KRONIKA.

Krukienice, 3 Sierpnia.

Piękne i tyle pociągające opisy doświadczeń w spotkaniu z dzikami hr. Kaź. Wodzickiego, czytane z wielkiem zajęciem i pożytkiem, ośmieliły mnie podać do powszechnej wiadomości jedno zdarzenie z dzikiem, które może wyda się bajką z Tysiąca i jednej nocy, a jednak jest prawdą, którą stwierdzić może naoczny jej świadek p. Jan Szulc, podówczas leśniczy w państwie Krukienickiem, obecnie w Dobromilu mieszkający. Stało się to w r. 1862 czy 1863. Jadąc konno w celu tropienia dzików spotkałem na granicy p. Szulca z leśnym, od którego dowiedziałem się, że dzik przeszedł w niewielki miot, ale go jeszcze nie otropiono. Zsiadam z konia, oddaję go leśnemu, i udaję się z p. Szulcem do owego miotu. Był to dwudziesto-letni zapust przetrzebiony, a w nim rzadka brzezina, grabina, podszyta kilkuletnią lipiną. Obchodzimy dzika w kawałku może pięciumorgowym, a że leśny był daleko od nas, a konia młodego nie można było pozostawić bez opieki, więc postanowiliśmy we dwóch polować. Staliśmy w pobliżu szerokiej linii, przez którą ruszony dzik musiał przechodzić. Ja mając sztuciec, a więc strzał dalszy i pewniejszy, zostałem na linii, p. Szulc zaś z śrótówką nabitą kulami, poszedł tropem z nadzieją strzelania do dzika w barłogu lub napędzenia go na mnie. Czekam już pół godziny, godzinę nawet, nie mogę niestety doczekać się ani strzału, ani dzika, ani mego towarzysza a oraz naganiacza, a będąc lekko do konia ubrany przy piętnastostopniowym mrozie począłem diabelnie zębami dzwonić, a w końcu zniecierpliwiony hopkam na mego towarzysza, który wnet się pojawia mówiąc, iż nie wie, co się z dzikiem stało, że prawdopodoknie go nie ma w miocie, bo ze dwadzieścia razy przeszedł go, i nigdzie dzika nie ruszył. Idziemy więc oba tropem, a doszedłszy do środka miotu widzimy kupę jakoby pół fury gałęzi z liściami i łup z lipiny, którą kupę p. Szulc kilkanaście razy obchodził. Przed kupą na dwa sążnie była wyryta głęboka jama, od której i do której szły tropy. Mówię do p. Szulca, iż dzik, kiedy go w jamie nie ma, chyba w kupie się znajduje, ten zaś zaprzecza zapewniając, iż tyle razy ją obszedł, a kupa była od nas zaledwo o dwa sążnie, więc rozstawiwszy się przy niej, zaczynamy świstać, hukać i wszelkimi możliwymi sposoby hałasować, w końcu rzucam grube gałęzie na kupę, ale wszystko bezskutecznie, w końcu dobrze wymierzywszy strzelam w środek kupy. Po strzale połowa gałęzi, łyka i liści wyleciała w powietrze, i obu nas najzupełniej zasypała. Gdyśmy nieco ochłonęli i otrzęśli, ujrzeliśmy w miejscu kupy siedzącego na zadzie i kłapiącego kłami odyńca, któremu na ślepo posłana kula przypadkiem złamała krzyże. Dobiłem go z drugiej lufy. Towarzysz mój zazdroszcząc mi tryumfu serdecznie żałował, iż wzywany przezemnie nie strzelił do kupy, a nie uczynił tego, jak później twierdził, z tego powodu, iżby wyskakujący z kupy dzik nie zastał go z jedną tylko nabitą lufą.

Nie jedno równie ciekawe wydarzenie z dzikami zachowałem w pamięci, ale za słabe moje siły, iżbym mógł obok świetnych opisów hr. Wodzickiego, z mymi nieudolnymi wystąpić. *Jan Ostrzechowski.*

Towarzystwo myśliwskie Sołotwińskie i św. Huberta upraszamy o nadesłanie sprawozdań z działania swego w bieżącym roku myśliwskim.

Prosimy o sprostowanie ważnej pomyłki w artykule hr. M. Tyszkiewicza, opisującym polowanie w Horodku na Ukrainie, umieszczonym w poprzednim Numerze „Łowca". Wilk przeszłoroczny nie nazywa się zolotek, lecz zalatek.

Myszkowce, 7 Sierpnia.

W odpowiedzi na moją korespondencyę umieszczoną w 6tym Nr. „Łowca", prostuje p. Tabaczkowski fakta przezemnie podane. Mogę udowodnić własnymi jego listami, pisemną umową, i poświadczeniem wiarogodnego człowieka, że cała jego odpowiedź jest kłamstwem. Dając do przerobienia strzelbę, nie wymagałem odskakujących kurków, p. Tabaczkowski zaręczył słowem honoru, że lepiej będzie dać odskakujące. Przy robocie całej nie byłem, bo strzelba, która miała być za 3 dni gotową, robiła się przez 5 tygodni, a ja w przeciągu tego czasu byłem raz 7, drugi raz 4 dni we Lwowie. Z próby na strzelnicy nie tylko nie byłem zadowolony, bo strzelba zawodziła, ale nawet strzelby nie przyjąłem, co też mój towarzysz, na którego się p. Tabaczkowski powołuje, niżej poświadcza. Wartość strzelby nie ja oznaczałem, lecz p. Tabaczkowski sam ją oszacował, nie ja żądam, lecz c. k. Sąd przyznał mi 130 złr. i koszta. P. Tabaczkowski zapomina, że podpisał umowę pisemną (niedotrzymawszy wprzód żadnej ustnej), w której się obowiązał zapłacić 130 złr. w razie niezrobienia nowej strzelby w terminie oznaczonym, a ponieważ nie tylko w ciągu trzech miesięcy, ale od 19 Września 1878 ani strzelby nie zrobił, ani pieniędzy nie oddał, — wytoczyłem mu proces, a Sąd przyznał mi owe 130 złr. i koszta, które egzekwuje, a więc nie jest prawda, że ja żądam. Nakoniec nie strzelby, lecz ruchomości p. Tabaczkowskiego są już parę razy zasekwestrowane, i dla tego choć je sprzedam, inni a nie ja pieniądze za nie zabiorą.

Zarzut, iż chciałem zrobić dobry interes, jest bezczelny, paręset złr. nie jest dla mnie interesem, dałem strzelbę o dwóch parach luf w r. 1878, dopłaciłem 30 złr., ponoszę koszta procesu, i cóż otrzymałem do dnia dzisiejszego — nic! Niechaj osądzą czytelnicy „Łowca", czy tak postępuje uczciwy rzemieślnik, wziął strzelbę, pieniądze, i jeszcze mnie czerni zarzucając nieprawdę. Cóż dziwnego, że niejeden sprowadza z zagranicy, podobne postępowanie odstrasza, a nie zachęca do zamówień w kraju. *Teofil Żurowski.*

Wola, dnia 6 Sierpnia.

Przeczytawszy w Nr. 8 „Łowca" odpowiedź p. Tabaczkowskiego, domyśliłem się zaraz, że tym towarzyszem WPana przy próbie strzelby ja byłem. To też na żądanie Pana, abym kilku słowy rozświecił tę sprawę, którą p. Tabaczkowski tak mylnie podaje, z przyjemnością to czynię, gdyż doskonale fakt ten cały pamiętam. Strzelba przerobiona z systemu Lankaster na iglicowy, pomimo własnego systemu odskakujących kurków, który p. T. zachwalał, zawodziła w strzałach. Strzelby tej w ten sposób przerobionej nie chciał WPan przyjąć zarzucając zepsucie zamków i niedokładność roboty. P. Tabaczkowski obiecał solennie, że błędy spowodowane opieszałością czeladnika natychmiast usunie, krótko mówiąc, system swój poprawi, za dokładne zaś wykończenie ręczył swoim honorem. Co się dalej stało, nie wiem, gdyż ze Lwowa wyjechałem.

Wł. Wiktor.

Czortków, 28 Lipca.

Chociaż nie jestem członkiem Tow. łowieckiego, i z tego powodu może nie jestem uprawniony prosić o umieszczenie mojej korespondencyi w „Łowcu"; czynię to jednak w przekonaniu, że gdy idzie o dobro ogółu, względnie ogółu myśliwych, słowa moje dążące ku temu celowi, będą chętnie przyjęte.

W Nr. 6 „Łowca" wyczytałem korespondencyę z Myszkowiec pod tytułem: „Nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe" z podpisem p. Teof. Żurowskiego. Ponieważ korespondencya ta może żadnego z członków Tow. łow. tyle nie obchodzi, ile mnie, postanowiłem niniejszem nie tylko stwierdzić „nierzetelność i nieuczciwość p. Tabaczkowskiego", ale nadto do powyższego dodać fakt inny, a oraz przestrzedz wszystkich myśliwych, by od p T. jak od zapowietrzonego uciekali, i nie powierzali mu do naprawy nawet najlichszej kabzlówki, ani też od niego strzelby kupowali. Przed czterma laty, jako od dzieciństwa myśliwy i dzierżawca polowania w trzech gminach, postanowiłem kabzlówkę kupioną u ś. p. ojca p. Tabaczkowskiego w r. 1862 za 45 złr., która mi przez lat 14 sowicie zwróciła koszt, zamienić na odtylcówkę systemu Lankastra. Będąc pewnym, iż sprawdzi się przysłowie: „Jaki ojciec, taki syn", że od p. Tabaczkowskiego nabędę strzelbę dobrą, wreszcie nie chcąc zasilać groszem moim zagranicy, zamówiłem u tegoż pana Tabaczkowskiego Lankastrówkę za 80 złr. W istocie przysłał mi ją, ale zamiast lufek „Bernharda" jakiś prosty i to jak mi się zdaje imitowany dziwir, a przytem jedna lufka zagięta. Odesłałem mu strzelbę. P. Tabaczkowski tłumaczył się, że to chłopak zapewne przy pakowaniu przez nieostrożność zagiął lufę, zapewniał że przyśle mi inną strzelbę, ale za dopłatą 15 złr. Cóż było robić. — przystałem na to. Po kilku tygodniach otrzymałem rzeczywiście strzelbę, ale znowu nie z lufkami Barnharda, tylko niby to miał być jakiś damas różowy. Było to w miesiącu Marcu, pora polowania minęła, więc dopiero w jesieni chodziłem z tą strzelbą to po błotach, to na przepiórki, i jakoś się tam strzelało. Dnia 4 Listopada wyszedłem z kilku towarzyszami w pole na wydeptanego szaraka, i nie wiem z jakiego powodu po strzale do jednego z nich była lewa lufka rozerwana. Zaraz nazajutrz wysłałem strzelbę do p. Tabaczkowskiego z poleceniem, by mi do tej samej osady dał nowe lufy, oraz prosiłem go, aby to jak najspieszniej uczynił, bo pora była polowania, a ja nie miałem strzelby. P. T. odpisał mi natychmiast, zażądał 35 złr. i obowiązał się przesłać mi strzelbę w 10 dniach. Czekałem na strzelbę dwa lata, straszyłem sądem i ogłoszeniem w dziennikach i t. d., zawsze świadczył się Bogiem, że za tydzień będzie strzelba gotowa, że go złodzieje okradli, że nie miał za co lufki wykupić, że mu za robotę do 400 złr. winni, i Bóg wie o czem mi nie pisał, ale strzelby nie przysyłał. Byłem kilka razy

sam u niego, wykazywałem mu jego nieuczciwość, niesumienność, lżyłem go nawet, wszystko to jednak nie skutkowało, przysięgał, wyklinał cały świat i siebie, zapewniał, że temu nie winien, że za kilka dni strzelba będzie gotowa. W końcu oddałem tę sprawę adwokatowi p. Moszyńskiemu, który naturalnie proces wygrał, i jakieś tam rzeczy zafantował, które jak się okazało nie były jego własnością. Co dalej będzie — nie wiem. Ostateczny rezultat taki: zapłaciłem 95 złr., korespondencye i koszta procesu kosztowały i jeszcze kosztować będą, a natomiast — niemam strzelby. Poczytuję sobie zatem za święty obowiązek przestrzedz, by nikt z p. Tabaczkowskim nie wchodził w jakikolwiek stosunek, jeżeli nie chce doświadczyć tego, czego doświadczyli p. T. Z. z Myszkowiec, ja i wielu innych, o których przemilczam. *Karol Stachowski.*

Niedźwiedzie w Siedmiogrodzie. Nie należą one wcale w monarchii austryackiej do rzadkości, niedźwiedź w niektórych miejscowościach, zwłaszcza krajów zachodnich, przebywa stale, ale niezawodnie najłatwiejsze spotkanie z tem zwierzęciem w Siedmiogrodzie, o czem świadczy przywiedzione niżej opowiadanie p. Adama Budy, właściciela Rey, o nader zajmującem polowaniu, które jakkolwiek co do liczby niedźwiedzi może obudzić niedowierzanie, to jednak z całą, stwierdzoną prawdą jest opisane.

„Dnia 28 Września — mówi p. Buda — udaliśmy się do wsi Malomwic, o półtory mili od Rey odległej i u podnoża gór Retyczat położonej, gdzie zatrzymaliśmy się u leśniczego p. Schustera, który nam dostarczył ośmiu doskonale miejscowość znających gońców. O 11ej wyruszyliśmy w 8 strzelb, i przybywszy do kniei ustawiliśmy się ponad jarem zwanym Valea-Vaj. Ponieważ liczba strzelców była zbyt małą, mogły być tylko główniejsze stanowiska obstawione, a myśliwi stali w znacznem od siebie oddaleniu. O godzinie 1ej zajęliśmy już stanowiska, a nagónka poczęła pędzić. Po dwugodzinnem oczekiwaniu usłyszałem w lesie łomot i wrzawę, a wkrótce potem pojawił się stary niedźwiedź, który wszakże po za grzbietem skalnym przemykał między mną a sąsiadem moim o 300 kroków odemnie oddalonym tak, iż ani ja ani on nie mogliśmy na pewne strzelić. Zaledwo zniknął ów niedźwiedź w jarze, nowy usłyszałem łomot. W pędzie ukazała się niedźwiedzica z dwoma młodymi między skałami, popędzając dzieci przedniemi łapami. Teraz również nie można było na pewne strzelić, bo niedźwiedzica pomykała ciągle prawie gąszczem. Krzakowi leszczyny znajdującemu się ponademną zawdzięczam, że niedźwiedź powalając się nie spadł prosto na mnie, i nie pociągnął w przepaść, na krzaku bowiem się zatrzymawszy stoczył się bokiem dziwnym wypadkiem właśnie na powalonego przed chwilą niedźwiedzia. Tam podniósł się na przednich łapach, nie mogąc się z powodu postrzału w krzyże całym korpusem podźwignąć, i mrucząc wściekle, ku mnie wzrok swój skierował. Na sześć kroków posłałem mu kulę w samo serce, poczem z wściekłym rykiem stoczył się w głębie jaru. Gon trwał jeszcze trzy kwadranse, a w tym czasie wyszedł jeszcze jeden stary niedźwiedź, dziewiąty w tym miocie, na pewnego myśliwego, któremu strzelba zawiodła, poczem wypadł na drugiego, który mu łapę przestrzelił, umknął więc na trzech. Po ukończeniu polowania gdyśmy przybyli do najpóźniej zabitego niedźwiedzia, objawiał on jeszcze znaki życia, musiano go więc dobić. Co do czarnej niedźwiedzicy, do której ja pierwszy strzelałem, widocznie ciężko postrzelona, schroniła się między urwiska skał, albowiem mój sąsiad widział tylko młode. Prześladować ją w tymże dniu było już niepodobieństwem, ponieważ już było późno, a transport zdobyczy aż do utartej drogi wymagał dosyć czasu i trudu, a nazajutrz nie można było zarządzić poszukiwania z powodu słoty. Jar Valea-Vaj, gdzie odbyło się polowanie, ma względną szerokość od 300 do 600 metrów, a przerzyna go rzeka Sebes. W tymże dniu i w tej samej porze polowało inne towarzystwo po przeciwległej owemu jarowi stronie, a w miocie tym było 12 niedźwiedzi, z których dwa ubito. W dwóch tych miotach, obejmujących obszaru około 1000 morgów, znajdowało się więc 21 niedźwiedzi. Tyle ile tego roku nie widziałem nigdy niedźwiedzi. Dotąd (9 Listopada 1879) zabito w dolinie Hatszeg 20 niedźwiedzi, ja sam ubiłem na trzech polowaniach 4 sztuki“.

Dolina Hatszeg według owego opowiadania pana Budy zdaje się być w istocie eldoradem dla myśliwych, tak częste jednak spotkanie z niedźwiedziem, jakie miał p. Buda, nie dla każdego byłoby pożądanem. Znajdował się on w nader krytycznem położeniu, a szczęśliwy rezultat jest dowodem zimnej krwi i pewnej ręki doświadczonego w polowaniach na niedźwiedzie myśliwego. *V. Tschusi (Jagdzeitung).*

OGŁOSZENIA.

Towarzystwo łowieckie uprasza członków o rychłe nadsyłanie ptactwa wodnego i błotnego oraz kozłów potrzebnych na bankiety w czasie pobytu we Lwowie Najjaśniejszego Pana. Ceny targowe.

Donosimy, iż znany rusznikarz **T. Wiśniowiecki** sprowadził **strzelby** różnych systemów i sprzedaje je po cenach umiarkowanych.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.